

NEW
COLEMAN

Biblioteka
UMK
Toruń

376123

MAURZYCY GOSLAWSKI

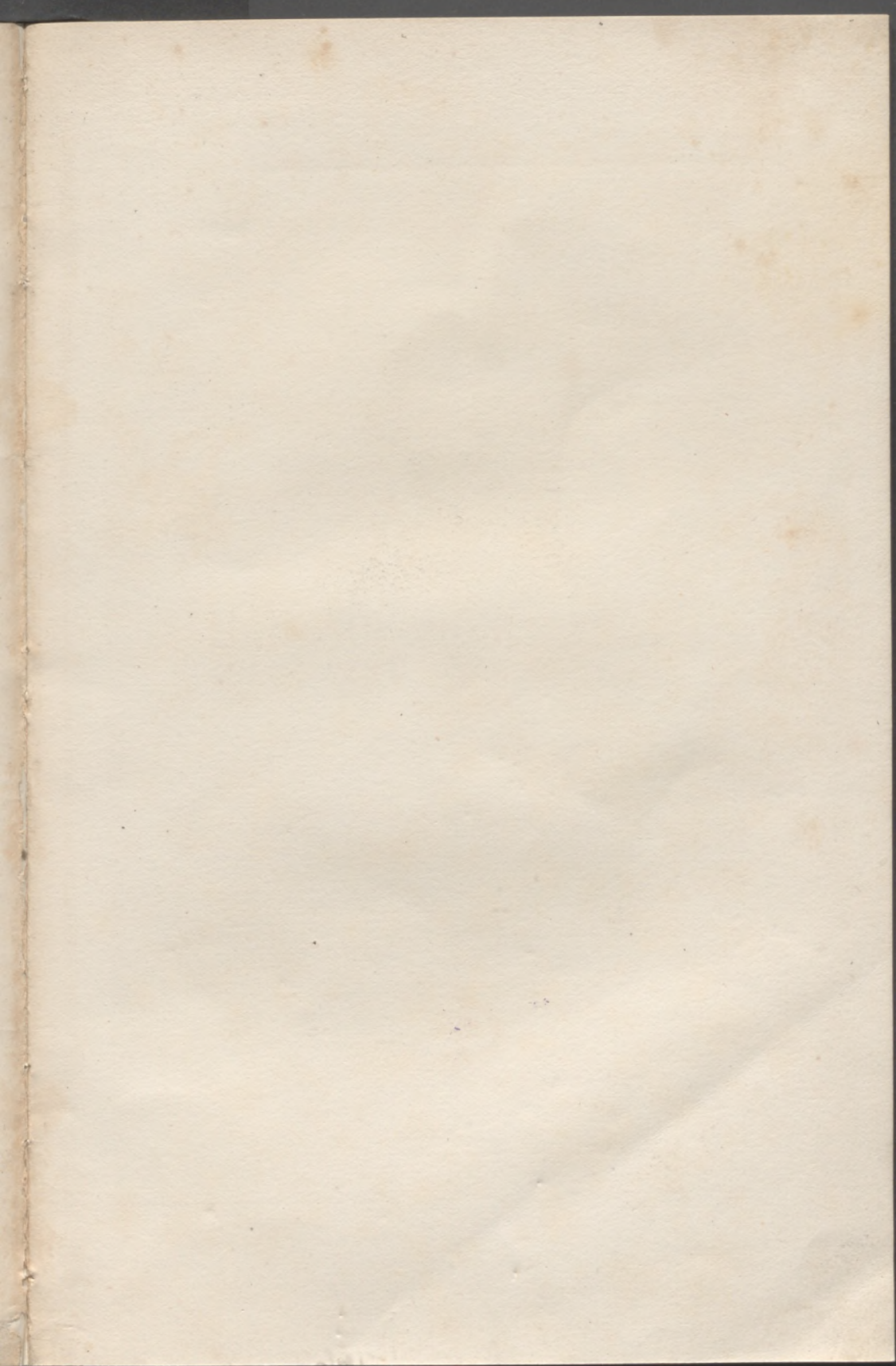
(USQUE AD FINEM)

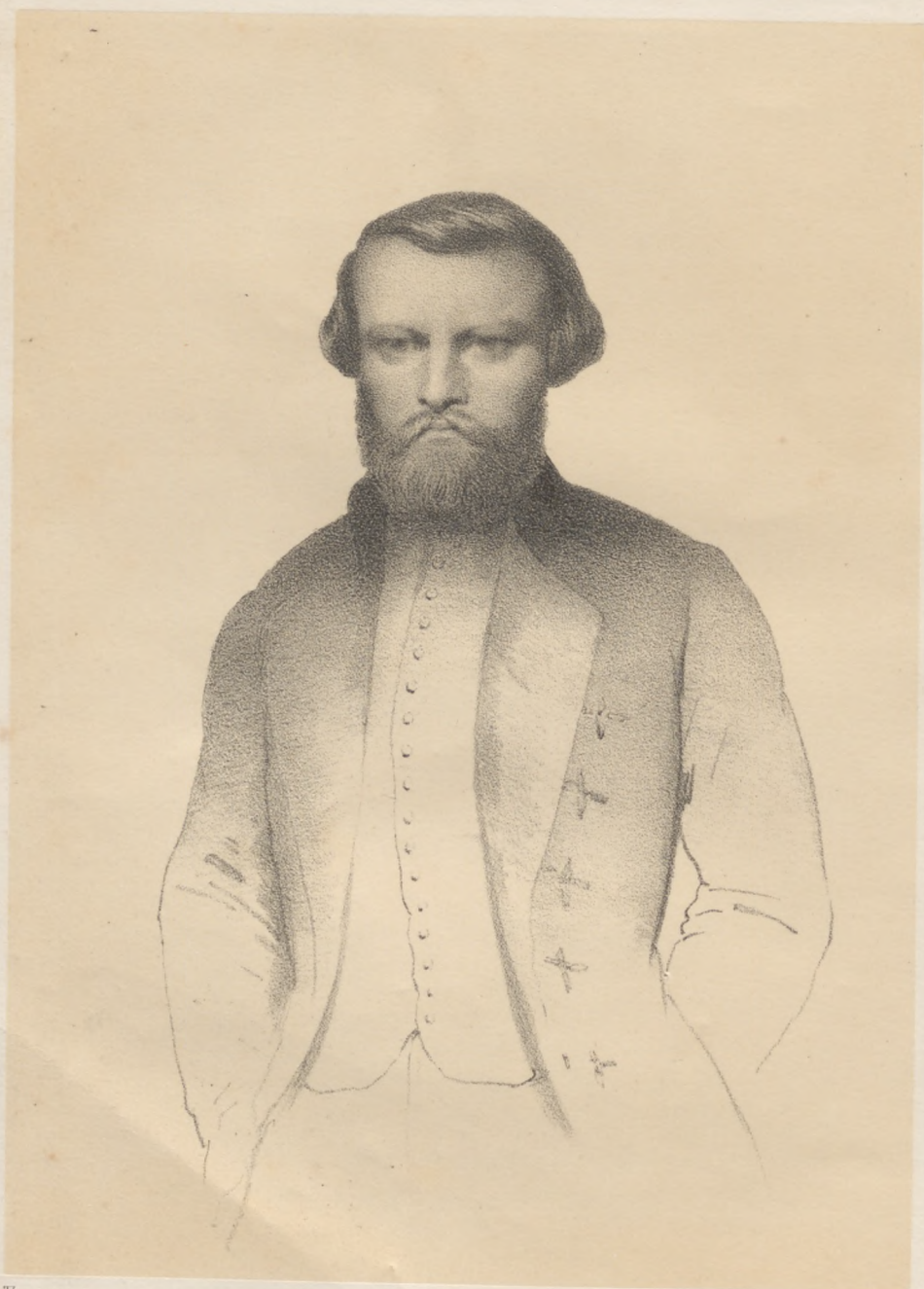
LIBRARY OF THE UNIVERSITY OF TORONTO



37.6123

K.543/61





V. prop

E. Marc del. et lith.

MAURYCY GOSŁAWSKI.

PRZEDSŁOWIE

— Niby takie, gdy wachowiesz, kto cię tam szuka,
Staj przychodząc, gdy wiodę przed sobą zbieżesz,
Kto z tych gwiazd tajemnie przepala drogę tuż wygasta!
Zostałś ciebie, wolaję astronomy z wiedzy,
Ale dla czego szacho, niki nieodpowiada,
Tęskniłś tyś się, i lud we śnie boby,
Ten dla czego spie ludzkie, ładna z nich niebada. »

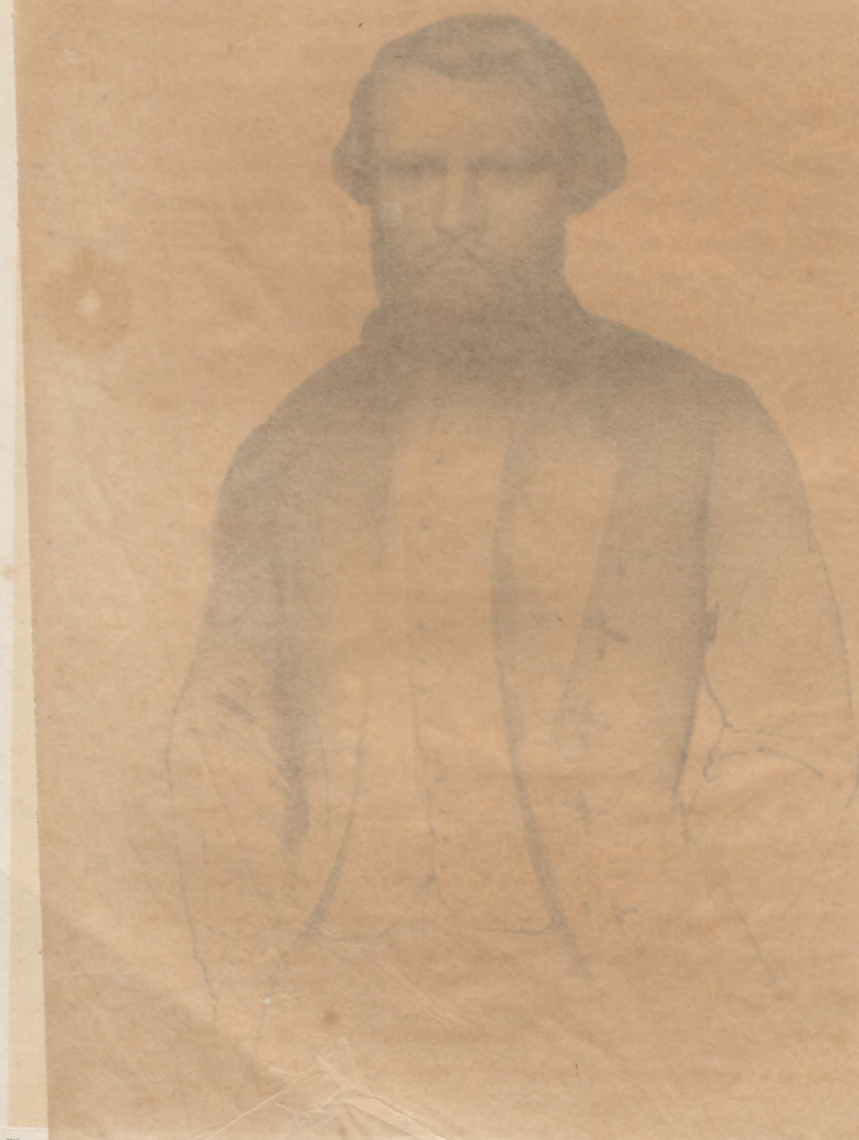
ADAM MICKIEWICZ.

— On nieczłowiek! on był sam!
On zagal się z pierścieniem, słowa i Piłki i Złota!
Postarzał niewyżale, — ko Polacy niegłowa,
Zerócił, lay się pudy — i wank zasrał cię!

MICHAŁ SZYBAŃSKI.

Są ludzie, w których niewidoczny świat, i kto to przychodzi na świat, ażeby
ich życie wyprzedzić. Oni wiedzą, że tak właśnie będzie, że tak właśnie będzie. —
Ludzie, którzy nie są ludźmi, którzy nie są ludźmi, którzy nie są ludźmi, —
hej, ciępienie, zabierawo, wiedziedzi i innych wronach, wiedziedzi i innych
największą; — pozay, które nie są ludźmi, które nie są ludźmi, —
widziane, ale zawsze po ciemności, zawsze po ciemności, widziane jak przez mgłę,
albo we śnie.

Los zdarzył, że znowu jakiś polski (szlachetny), wkrótce po jego przybyciu, do-
stał się do rąk niemieckich. Tenże ten, wędrownie ucząc i myśląc, wędrownie rytmu i oku,



V. p. 11

E. More del et lith

MAURYCZ GOSLAWSKI

PRZEDSŁOWIE.

« Nocy cicha, gdy wschodzisz, kto ciebie zapyta :
Skąd przychodzisz ; gdy gwiazdy przed sobą rozsiejesz,
Kto z tych gwiazd tajnie przylślej drogi twój wyczyta !
Zaszło słońce, wołają astronomy z wieży,
Ale dla czego zaszło, nikt nieodpowiada.
Ciemności kryją ziemię, i lud we śnie leży,
Lecz dla czego śpią ludzie, żaden z nich niebada. »

ADAM MICKIEWICZ.

« On niesłyszał! on był sam !
On żegnał się z pierścieniem, słowa : Polska ! Lima !
Powtarzał niewyraźnie, — ku Polsce oczyma
Zwrócił, lzy się puściły — i wzrok zastygł tam ! »

MAURYCY GOSŁAWSKI.

Są ludzie, o których powiedziećby można, iż po to przychodzą na świat, ażeby ich życie było zagadką. Do rzędu ludzi takich należyć się zdaje: MAURYCY GOSŁAWSKI. Dziwne przygody jego życia, gorąca miłość dziewicy, ojczyzny i ludzkości; — trudy, boje, cierpienia, tułactwo, więzienie i śmierć wreszcie męczeńska za tę jego — trójcę najświętszą; — poezyc, które na cześć ich składał, — wszystko to znane, słyszane i widziane, ale znane po wierzchu, słyszane pół-uchem, widziane jak przez mgłę, albo we śnie.

Los zdarzył, iż znaczna część poezyj Gosławskiego, wkrótce po jego zgonie, dostała się do rąk moich. Treść ich, wzniosłość uczuć i myśli, osobliwość rytmu i oku,

talent niesłychany w rozwijaniu scen najzawilszych, a nadewszystko : ożywiający je patryotyzm, domagały się ogłoszenia ich drukiem, — ale nadaremne były wszystkie moje w tym celu zabiegi i starania. Robilem wszakże co mogłem ; zamieściłem wyjątki w niektórych pismach czasowych, — lecz na ogłoszenie całości zdobyć się niepodobna mi było, a takiego : coby mógł a chciał, nie spotkałem po drodze mojej. Dziś, wprowadzam do dzieła obecnego, z tych poezyj w rękę moją będących, dwa poemata : RENEGAT inaczéj ODSTĘPCA, i BANKO, oba dotąd nigdzie i nigdy niedrukowane w całości, — szczęśliwy, że raz wyjdą z niezasłużonego ukrycia ; — żałuję tylko, że niewiele szczegółów, dotyczących żywota ich twórcy, dołączyć mogę. Długie moje poszukiwania w tym względzie, na tém się dotąd kończyły, iż im dłużej szukałem, tém ślad tego, co odszukaném już było, zacierał się z latami. Daję więc co mam.

Mullum dat, qui dat quod habet.

LEON ZIENKOWICZ.

MAURYCY GOŚŁAWSKI.

(USQUE AD FINEM)

Miłość Ojczyzny! — o! to słońce świetne
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
Całe się czystym miłościom oddadzą,
Jako żurawie, co łańcuch prowadzą,
Świetniejsze serca wylatują przodem;
Umra? — jak duchy lecą przed narodem!

Księżu! Gdzie teraz Kościuszko? — W mogile! . . .
Kiedy żył jeszcze były takie chwile,
Żem ja był wrogiem jego świetnej sławy.
Chciałbym dziś widzieć cień jego postawy,
Albo grobowiec przy bladych barwinach,
Musi być smutny szmer nad nim w dzewinach;
Smutne tam duchy błędą w księżyc świetny
Wol-jac : Ojczy! choć on był bezdzietny.

JULIUSZ SŁOWACKI.

» Szczegóły zdarzeń współczesnych, często znajome w chwilach obecnych lub
» bliskich wypadkom historycznym, zacierają się z czasem, i zdarzenia te, dochodzą
» do późnej doby, pod innemi częstokroć światłem, niżli je miały w istocie. Szczegóły
» towarzyszące ważniejszym wypadkom, i w chwili nastąpienia ich, jako mniej zaj-
» mujące, bywają zaniedbywane, z kąd później wyradzają się niezaprzeczone szkody
» w badaniach historycznych; z kąd owe przerwy w dziejach, nierozwiązane lub
» wątpliwe zagadki w poszukiwaniu; gdy tymczasem znajomość szczegółów związa-
» nych ze zdarzeniami, mogłaby nieraz wyluszczyć je najdokładniej. Często, jedno
» słówko osoby historycznej; jedna słabość, namiętność, skłonność; jedno lekkie
» odcienienie jej charakteru i usposobień, rozwiązałoby zawiloci, na których polega
» wykrycie celu historii : *Prawdy*.

» « Wzniosła sprawa, o którąśmy walczyli, upadła. Wszystkie usiłowania i poświę-
» cenia, stały się jakoby bezkorzystne. Obecne pokolenie zdaje się czuć na sobie

» tylko wpływy upadku. Lecz niepowodzenia ojczyście, wkładają właśnie na teraz—
 » niejszość święty obowiązek wyrachowania się przed przyszłością z toku swego po-
 » stępowania, ze środków jakie ma w swoim zarządzeniu, i z wpływów jakim ulega.

» Po upadku ogółu, zdaje się nikt niemiałby prawa wyliczać cząstkowych zasług,
 » bo te niezabawily całej sprawy, bo się na nic nieprzydały! Można i tak sądzić, —
 » ale ten sąd mylny! Owszem, każda szczególna zasługa, cnota, poświęcenie się,
 » talent, geniusz, jak szczególne niedoleżności: gnuśność, egoizm lub złe chęci,
 » powinny być najściślej ocenione podług stopnia, w jakim się do dobra lub zła
 » narodowego przyczynily; bo u nas z cząstkowych działań utworzone było całko-
 » wite działanie narodowe, któremu dopiero naczelne osoby nadawały kierunek.

» To całkowite działanie i kierujący nim sternicy, stanowią przedmiot czysto
 » historyczny; cząstkowe zaś osoby, z których szczególnych działań tworzył się ów
 » ogół, służyć będą do wyjaśnienia wypadków na przyszłość. Nieochłonęło jeszcze
 » społeczne wrzenie namiętności, mgła tajemnicy zakrywa dziś większą część zda-
 » reń naszego powstania i upadku. Lecz aby przyszłość mogła o nas sądzić dokła-
 » dnie, należy przesłać jej po nas dowody, z których ona treść wyciągnie i wyrok
 » ułoży. Nasze postęпки i błędy są dokonane, ciągnące za sobą jakiegokolwiek skutki,
 » przechodzą na własność ogółu naszego plemienia i na własność ogółu naszej
 » przyszłości, ku jej korzyści.

» Dla tego pożądaną i nieodbitą potrzebną jest rzeczą, aby zostały po terazniej-
 » szości pamiętniki wszystkich zdarzeń, nawet dzisiaj mniej zajmujących, bo współ-
 » czesnych, bo nam dobrze wiadomych; rysy charakteru osób naczelnie działają-
 » cych, lub cząstkowo wpływających na ogólną sprawę, choćby w najmniej-
 » widocznym stopniu; z takich bowiem źródeł może przyszłość nasza brać farby
 » do wystawienia tego wielkiego obrazu, co w naszych oczach jaśniał, którego za-
 » chód krwawy oplakujemy, a którego wschód ma oświecać polskich potomków na
 » długą przyszłość.

» Wykazanie cnót lub błędów, a nawet złych chęci (bo na nieszczęście byli i wy-
 » rodni), będzie pogrzebową cześcią dla mężnych braci, co legli w obronie ojczy-
 » zny; będzie pociechą dla dusz wzniosłych, dla tych wielkich tułaczy, co ja
 » w nieskalanych piersiach, w niezgwałconém przekonaniu, niosą dzisiaj rozpro-
 » szeni pod cudze nieba; będzie wyrzutem dla tych, co kochać jej nieumieli i kochać
 » jej niebyli godni; będzie nakoniec tą świętą arką, w której, prochy jej, oddamy
 » dzieciom naszym, ku czi i wskrzeszeniu.... ».

Owoż, co Maurycy Goslawski pisał w dodatku do poezyj swoich, drukowanych
 jeszcze w 1833 roku.

I niejestże to rzecz dziwna, że człowiek który tak czuł, który tak pojmował po-
 trzebę przekazania pamiętek przeszłości ku pożytkowi przyszłości, sam zgasł
 potem bez śladu, prawie zapomniany że żył kiedyś na świecie i dla świata, — za-
 pomniany wraz z pracami i z uwagami swojemi.

A jednak był to człowiek równie wielkiego serca i wzniosłego umysłu, jak nie-
 ograniczonego poświęcenia i niezaprzeczonej zasługi.

Znany już, jako znakomity poeta, przed powstaniem 29 Listopada;

Żołnierz podczas tegoż powstania;

Oblężeniec w Zamościu po poddaniu Warszawy;

Jeniec moskiewski po zdaniu się Zamościa;

Wyzwoleniec za sprawą niewiast polskich;

Tułacz po obcych krajach;

Towarzysz wyprawy Zaliwskiego;

Sprzymierzeniec Szymona Konarskiego;

Więzień i męczennik na śmierć w inkwizycyi austriackiej;

A wszędzie i zawsze patriota niezłomny, wierny swemu powołaniu i narodowemu
 obowiązkowi; — wszędzie i zawsze, w powstaniu, w obozie, w oblężeniu, w niewoli,
 na tułactwie, w więzieniu, w chwili śmierci samej, poeta tworzący wzniosłe wiersze,
 przepelnione uczuciami najgorętszej miłości Ojczyzny i Ludzkości.

Był czas, wkrótce po szlachetnych usiłowaniach Zaliwskiego i Konarskiego, że poezye Gosławskiego krążyły po kraju w licznych odpisach, wywołując niepodobne do wypowiedzenia uwielbienie lub oburzenie, według tego, jak były w ręku ludzi zapалу i poświęcenia, albo samolubów i obojętnych. Padł ofiarą usiłowań swoich Zaliwski, skazany przez sądy austryackie na dwudziestoletnie więzienie w twierdzy Kulstejn. Padł podobnąż ofiarą Konarski, skazany na śmierć przez moskiewskie sądy i rozstrzelany w Wilnie. I wkrótce, rozeszła się również smutna i bolesna wieść, iż Gosławski zakończył życie w więzieniu austryackim — w Galicyi, w Stanisławowie. Przebywałem podówczas w Alzacyi — w Strasburgu nad Renem, gdzie wyczekiwali także lepszych dla sprawy polskiej czasów, osobiści znajomi, przyjaciele i wielbiciele Gosławskiego, a pomiędzy niemi: Lesław Łukaszewicz, Teofil Wiśniowski, Lucyan Stemiński, Seweryn Goszczyński i kilku jeszcze innych. Dla serc gorących i młodych, nie ziemskiego niema niepodobnego. Toż, na pierwszą wiadomość o śmierci Gosławskiego, postanowiliśmy zająć się zgromadzeniem poezyi jego, dla ogłoszenia ich drukiem. Pierwsza myśl, acz z niezamierzonym skutkiem, lecz na drugą, niebyło dla pielgrzymów sposobu. Dziś, rozpoczynając wydawanie *Żywotów Narodowych*, niemogłem odmówić sobie rozkoszy, wprowadzenia do nich, choć części poezyi Gosławskiego, dotąd nigdzie niedrukowanych w całości, a do rzędu których należą: RENEGAT inaczej OBSTĘPCA, i BANKO.

Zadowolonemu z tej strony, pozostawiało odszukanie szczegółów żywota poety. Zdało mi się, iż był rodem z Podola, — więc pewnego razu, zagadnąłem któregoś z Podolaków: Czy znał Gosławskiego?

— Gosławskiego Maurycyego? poety?

— Tak jest?

— A jaż miałbym go nieznać? A toć przecie w szkołach — w Winnicy, siedzieliśmy przez lat kilka na jednej ławie. A to mi dopióro była dusza kochana, — a jaka zapalona głowa? Już w trzeciej klasie pisał, bywało, wiersze, a zawsze do kochanki lub do Ojczyzny! Pamiętam, że ilu nas było podówczas w szkołach, wszyscy jego wiersze umieliśmy na pamięć; ale dzisiaj — starość nieradość, — wszystko się zapomniało.

— To przynajmniej pamiętasz: gdzie i kiedy się rodził?

I tego niepamiętam, mozem nawet niewiedziać; boć to zresztą są rzeczy, o których młodzi w szkołach najmniej mówią ze sobą. Ale myślę że był jednym lat ze mną, że więc rodził się około 1805 r. a musiał być rodem z Podola, skoro takie czułe pisywał do Podola wiersze.

— To nie dowód koniecznie, wtrącił ktoś z boku. Wszakże podczas powstania pisywał on także Mazury, i jakie dzielne Mazury, chociaż się pewnie na Mazowszu nierodził.

— A jabym myślał, dorzucił ktoś trzeci, czy też on niebył z Ukrainy rodem? Znać jego wiersz!

« Gwiazdo świtu! z Ukrainy
Przypłynął ten obłok luby;
Bez ojczyzny, bez rodziny,
Błądzi po szerokim świecie,
Gdzie pedzony tchem zaguby
» Uragan go miecie? »

— Ale to, rzekłem, mógł stosować rączkę do Ukrainca: B. Ludana Zaleskiego, któremu wiersz ten poświęcił, — i to niemal jedyna w jego poezyach do Ukrainy zwrótką, kiedy za Podolem zawsze i wszędzie tęskni.

— Bo kochał się na Podolu, nad Zbruczem, dorzucił znowu głos z boku, i owa to podobno poczciwa ale nieszczęśliwa miłość, jak niegdyś z Karpińskiego i Mickiewicza, zrobiła z niego poetę, bo był jakoś po opuszczeniu szkół poezję zaniedbał, i wtedy właśnie napisał ów prześliczny poemat: *Wesele Podolskie*, drukowany w Warszawie, którego cały nakład spalił w obec przyjaciół, a to z powodu, iż był go przypisał Krasiańskiemu Wincentemu, jako rodem Podolakowi, a który potem, głosząc za śmiercią polskich więźniów stanu, niegodnym okazał się tego zaszczytu.

— Więc Gosławski, przed powstaniem Listopadowém, był w Warszawie?

— Był!

— I powstanie zastało go w Warszawie?

— Nie! Bo niemogąc skończyć z nieszczęśliwą miłością, przeto iż był ubogi, a panna bogata, zaciągnął się do wojska — do korpusu Litewskiego, myśląc niecierak, że szlufami oficerskimi tamy ubóstwa przelamie, — ale wkrótce buchło powstanie, a on zaraz po stronie jego się znalazł, służąc mu szabłą i piórem. Liczne są jego poczyte z tych czasów. Warszawa mało je знаła, bo składał je w obozach, zwłaszcza, służąc jako porucznik przy Legii Litewsko-Ruskiej, w dywizyonie utar-nów podolskich, pod komendą Aleksandra Wereszczyńskiego. Losem wojny wrzucony do Zamościa oddział ten piękny i waleczny, przetrwał w nim całe oblężenie. Większość jego składali obywatele Podola i Wołynia, — młodzież myśląca, ukształconego wychowania, głęboko przenikniona świętością narodowej sprawy, i która przetoż oddała się jęj bezwarunkowo. Ich to nieustraszonemu mężtwu i nieprzelamanej wytrwałości, z jakimi znosili niewygody i trudy, nędzę i głód oblężenia nieupadając na duchu, winien Zamość najświetniejszą część swęj obrony; — ich światłemu wpływowi i moralnej przewadze należy się sława, iż ostatni, po upadku wszelkiej nadziei pomocy, dotrwał, — i z orężem w ręku, sam jeden, dni dwadzieścia przedłużył życie narodu. Na ostatniej radzie wojennej o poddanie się twierdzy, przeciwnych poddaniu się jęj było *siedmiu* oficerów na *stu-ośmiu* zgodnych, — ci zaś *siedmiu*, byli to Podolacy, a w ich liczbie: *Maurycy Gosławski*. Wtedy to, pod wrażeniem ogólnego zwątpienia, a boleści rozdartego serca swojego, napisał on ową *Zamościankę*, inaczej zwaną *Zwątpienie*, poświęconą komendantowi oblężonego Zamościa, generałowi Krysińskiemu, z własnoręcznym listem do niego (1), a która, jak łatwo się domyślic, wywołała niesłychane oburzenie ludzi zwątpienia, którym szło o byle już jakie zakończenie walki, i rychły powrót do domu, kiedy poeta doradzał im: *wieniec męczeński*, przedstawiając: że kiedy już dłużej bronić Zamościa niepodobna, tedy należy wysadzić go w powietrze, i samym się pod gruzami jego zagrzebać.

„ Ludu wolny!
Ludu wielki twoim duchem!
Ty! coś okuty łańcuchem
Umiął światu dać nauki
Z grobu doby obecnej wolne wynieść wnuki!
Tyżto, ty, miałbys się trwożyć?
Ludu wzniosły! Bylbys zdolny
Chwil nikczemnej skargi dożyć?
Nie! Nie tobie o nią modlić!
Pogardź i ziemią i niebem,
Zagiń w własnych zwaliskach nieuczony pogrzebem,
Wprzód, niżbys się raz miał spodlić.

(*) List ten w rękorysie (fac-simile) autora, tak jak mi udzielonym został, znajdzie czytelnik przy końcu tego żywota.

» Giń! a krew i lzy twoje niepopłyną marnie,
Zamknij w milczącej piersi ciężki głos przekleństwa,
Przyszłość, jak bujna niwa, te ziarna ogarnie,
I z nich tak górnie, zaszczytnie,
Szczęście wieków na twojej mogile zakwitnie,
Jak dziś na twojej skroni gałązka męczeństwa! »

Kapitulował Zamość, — na warunkach poszanowania własności i wolności osobistej, całej bez wyjątku załogi, i każdemu wojskowemu miał być dany paszport na wolny powrót do domu, i spokojne życie w swoich zagrodach; lecz Moskale, po dziesięciu dniach, zgwałciwszy świętość kapitulacji, oddział Podolaków zatrzymali i w głąb Rosyi popędzili, — a pomiędzy niemi był Maurycy Gosławski. Rodem z Podola, dezerterski z korpusu Litewskiego, zapalony powstaniec i poeta, wiadomo, jakiego losu mógł się spodziewać w takiej niewoli; — lecz na szczęście jego znalazły się poczciwe niewiasty — Podolanki, które mu ułatwiły ucieczkę do Galicji, gdzie też, z wdzięczającą tę ich bohaterską przysługę, napisał prześliczną na cześć ich poezye, pod tytułem : *PODOLANKI w Więzieniu Ułanów Podolskich w Żytomierzu.*

« A czy znasz ty moc uroku,
Co pustynie życia złoci?
Ten urok, jest to lza w oku,
Lza w pięknym oku dobroci.
Na promieniu współcierpienia,
Do niskiej człowieka strzechy,
W dniach upadku i zwątpienia,
Spływa Anioł zlitowany,
Niezgojone serca rany
Goić oddechem pociechy.
Przed nim, nad nim, na okolo,
Płyną radości uśmiechy,
Czyste, jak pierś jego czysta,
Jak jego pogodne czoło,
Jak jego twarz promienista.

« A jakież to bóstwa tkliwe,
W anielskiej postaci,
Schodzą w więzienia zelżywe
Wspierać wolnych braci?
A z ich zstąpieniem wokoło,
Płynie słodki zdroj pociechy,
Czysty, jak ich serca czyste,
Jak ich — anielskie uśmiechy.
Jak ich — lica promieniste.
Bóstwa to — niech rodzinnych chwilowe wygnanki!
Padnij na twarz i bij czołem
Korniej, niżli przed aniołem,
To są PODOLANKI!... »

Wkrótce, po ogłoszeniu tej poezji Gosławskiego, stanął był wśród pielgrzymstwa polskiego, jeden z carskich służalców, z projektem amnestyi, kusząc, w imię braterstwa moskiewskiego, wytrwałność polską :

« Stanął pogodny, — i rzecze :
Bracie drogi! — wstrzymaj bój!
Krew to droga po nas ciecze,
Krew rodzinna, — ja brat twój!
» Tyś pobłdził, pan nasz prawy,
Którego ja jestem sługą,
Miłosierny, i łaskawy,
Nierad pomni krzywdy długo.
» Pan mój niechce krwi rozlewu,
I mnie słudze tak rozkazał :
Abym pamięć kłesk i gniewu
Z łaskawej piersi wymazał.

» Wolne będą twoje rody,
Pełne prawa i swobody,
Za najpierwszém słówkiem zgody.
» I co dotąd zwał cię jeńcem,
Lub przemieńczym poddanym,
Odtąd nazwie sprzymierzeńcem,
Nazwie bratem ukochanym!... »

Oburzony temi obłudnemi słowy, Gosławski: — *Stój!!!* zawoła, odpierając z pogardą, w imieniu pielgrzymstwa polskiego, to kuszenie moskiewskie :

« Ja, niebyłem nigdy katem,
Byś miał prawo zwać mię bratem!
Słuchaj ty, — pański służalce!
Ja, syn wolny wielkiej ziemi;
Ja, pierściami nie cudzemi —
Jak ty, — ja, własnemi walczę;
Walczę za siebie i za nią.
Ty krwi cudzej lejesz zdroje,
Nadstawiasz piersi nie swoje,
Przedales je, i tak tanio
Kupiono cię niewolnika,
Z twojém życiem i imieniem,
Z przekonaniem i sumieniem
Ceną rubla — lub krzyżyka!

« Pójdź, i powiedz panu twemu,
Że ja nieprzebaczam jemu,
Pokaż krew mój ziemi droga,
Smoczą paszczą będzie chleptać;
Póki Tatar dziką nogą
Zgięta Ludzkość będzie deptać!

« Niech wyzionie smocza paszcza,
Co połknęła z naszej krwi;
Niechaj odda, co przywłaszcza,
Co jęć w gardle żywc tkwi,
Wtenczas tylko, wtenczas żniże!
Przebaczenia czas wybije!!!... »

Nieudała się amnestya carowi. Pielgrzymstwo polskie, cale jak było, i gdziekolwiek było podonczas, odrzucilo ją z pogardą, przenosząc zaszczytne tulactwo nad hańbiący powrót do domu, a Gosławski, poeta jego, w takie zaraz rymy przelał to odrzucenie :

« Tutaj zachód, a tam wschód,
Tak południe, północ tak!
Przez pustynie ziem i wód,
Cztery wiatry wieją wspak.
Po nad głową niebios sklep,
A nad głową dziki step.

« Tulacz!... jak świat przed oczyma
Dla mnie niema kropli tchu;
Piędzi ziemi na grób niema,
Wszystko cudze tu i tu.
Wszystko z łaski i z jałmużny,
Słońce z łaski daje dzień,
Za stąpienie ziemiś dłużny,
Powietrzu za krople tchnień.

« Tulacz!... bez praw, bez imienia,
Upadły wierzyciel cnót,
Dzisiaj z lichwą poniżenia
Zebrać musi wsparcia, tchnienia,
U niewdzięcznych wrót!...

» Jego dłoń, pierś, jego głowa,
To jest Arka narodowa,
Któręj ziemia winna cześć!
A dziś, tę tulając głowę,
Te świętości narodowe,
Nagie przez świat trzeba nieść.
I zbawicielską dłońią narodową
Zebrać litości nad tą nędną głową:
I pierśią narodową krwawę znosić razy,
Upokorzenie dumy, wzgardę i obrazy,
I litośne uśmiechy, i niskie jałmużny,
I od kogoż? — Od świata, od jęj wdzięczność dłużny.

» Dalej świecie! bez wytchnienia
Truj do reszty duszę, truj!
Wystarczy ci na objęcia,
Jak szeroki, także mój!
» Niema Polski!... Dalej świecie!
Wszystko jedno, gdzie chcesz nieść.
Na szerokim twoim grzbiecie,
Na grób ziemi starczy gdzieś.
» Ja nieidę po jałmużny,
Ni po litość, gardzę nią,
A depeć cię, boś mi dłużny,
Boś kupiony moją krwią.

Szlachetną była protestacya i rezygnacya pielgrzymia, zdecydowanego raczej na tułactwo dośmiertne, aniżeli na przyjęcie łaski z rąk wroga, który najechawszy i rozszarpawszy Polskę, on właśnie u nóg jęj przebaczenia błagać powinien. Lecz nieprzeszał na samych słowach gorący duch poety, i na wieść, że część pewna pielgrzymstwa postanowiła czynem, z bronią w ręku, na ojczystej ziemi, zaprotestować przeciw amnestyi carskiej, Gosławski, 1833 r. ruszył za tak zwanymi: partyzantami i emisaryuszami, na swoje ulubione Podole.

Od krańca do krańca starożytnych swych dziedzin, zarumieniła się na nowo Polska krwią wiernych synów swoich; zaskrzypiały na nowo szubienice obciążone ofiarami nieslychanego poświęcenia; tysiężne kibitki zaczęły znowu białą drogę na Sybir, — ale car przekonał się raz jeszcze, że Polskę rozszarpać i udręczyć można, lecz znieważyć jęj, darem łaski carskiej, — nigdy.

Po upadku, a raczej rozwiązaniu wyprawy, która, oprócz zbrojnej protestacyi, innego mieć założenia niemogła, pielgrzymstwo polskie, rozproszone po Galicyi, znalazło się w tém okropniejszym położeniu, że zawierzywszy rządowi austryackiemu, niespodziewało się ze strony jego zdrady.

W ciągu dalszym niniejszego żywota, zdarzy mi się jeszcze sposobność mówienia o tym przedmiocie; tutaj, miejsce powiedzieć, że Gosławski, napadnięty jednę nocy, w pewnym domu, na galicyjskiem Podolu, pochwycony i okuty w łańcuchy, osadzonym został w więzieniu, w Stanisławowie. Kto czytał pisane przez Silvio-Pellico: *Pamiętniki z więzienia*, ten wie, na jakie męki skazani bywali za jego czasów, włoscy polityczni więźniowie; wszakże, były to brzaski dopiero prześladowania, na których zaprawić się miał hyenizm austriacki we Włoszech, ażeby z całą wściekłością rozwinął się kiedyś na więźniach polskich w Galicyi, do których, oskarżony o stosunki z partyzantami i emisaryuszami, czyli mówiąc imiennie: z Zaliwskim i Konarskim, należał Gosławski. Twarde było więzienie, ale twardszą była śnać jeszcze dusza Gosławskiego, skoro spółtowarzysze jego więzienia, a było ich niemalo, niemogli się nadziwić stałej jego pogodzie czola i humorowi zawsze wesolemu. Niestety! Były to zewnętrzne osłony tylko, po za którymi tém sroższa toczyła

się walka wewnętrzna, że była zakryta i nieprzeszkadzana. Zdrów i spi koiny z pozor, nagle zapadł w ciężką chorobę, i po kilku dniach strasznych cierpień, zakończył życie męczeskie ku końcowi 1839 r., w więzieniu austryackim, w Stanisławowie, na ziemi należącej niegdyś do uwielbianego przezeń Podola.

« Nieznałam Maurycego Gosławskiego za życia jego, — pisze mi jedna z zacnych » Polek, obecnie przebywających w Krakowie, — ale widziałam go po śmierci, podczas pogrzebu, a widziałam tak dobrze, iż mi się zdaje, że go widzę dziś jeszcze » patrzącego na mnie : *oczami duszy swojej*. Był oblicza jasnego, twarzy ściągłej, » wzrostu więcej aniżeli średniego, włosów ciemno-brązowych, oczy miał niebieskie, » w powstaniu nosił wasy, a w więzieniu zapuścił brodę. Skromna, zwykle czarna » czamarka, była jego ulubionym ubiorem; — lecz rodacy ubrali go po śmierci w mundur narodowy, i w nim, wśród napływu bardzo licznego obywatelstwa miejscowego » i okolicznego, z wielkiem pochowali spólcziem. . . » L. z P. S.

W innym liście, czytam co następuje : « Znałem osobiście Maurycego Gosławskiego, i przeżyłem z nim wiele chwil ważnych. Znałem go w Warszawie, kiedy » drukował i spalił swe : *Wesele Podolskie*; — znałem go podczas powstania, » kiedy składał : *Mazury Obozowe*; — i znałem go w Galicyi, kończącego *Renegata*, » i piszącego *Banko*. Według mnie, był to człowiek niezwyčajnego charakteru; » słodki i kwaśny w pożyciu, tak, że kobiety nazywały go raz : karmelkiem, a drugi » raz : octem. Jąbym porównał go do dnia, w którym burza walczy z pogodą. Widzisz » niebo czyste, jasne, niebieskie, jak były oczy Gosławskiego, w tém zesunęły się » chmury, zaczernił się widokrąg, tłuką się wzajem różnobarwne obłoki, szumią » wichry, bije grad, leją wody, błyskawice ze grzmotem przesywają powietrze, » padł piorun jeden, drugi i trzeci, jeden straszliwszy od drugiego, i oto uciszyło » się znowu, pogoda w górze, na dole i po bokach, słońce świeci tak czysto, jak » gdyby żadną chmurką nigdy zacienione niebyło; lubo, cicho do koła; — to jest » życie, to są poezye Gosławskiego. Rozkochany w swém rodzinném Podolu, o niem » pisał i marzył ciągle. . . Seweryn Goszczyński, uderzony tém rozmówianiem się » poety : — « Gosławski, powiada (*), zamierzył sobie opiewać swą rodzinną ziemię : » Podole, — zostać poetą narodowym podolskim. — Niemamy nic przeciwko podobnym » chęciom ; bo jeżeli poecie wolno obrać za przedmiot swoich natchnień jedną » osobę, równie wolno wybrać z całej ziemi jedną okolicę, ale potrzeba zachować » najgłówniejszy, wyraźnie dziś uznany warunek poezyi — prawdę, a Gosławski » wpadł na drogę owych francuzkich romansistów idealizujących nad zakres czło- » wieczeństwa swoje bohaterów. . . » Ale Goszczyński, kiedy to pisał, nieznał jeszcze » ani *Renegata*, ani *Banko*, — on sądził Gosławskiego z jego *Podola*, z *Tęsknoty*, » z ulamku *Powieści Kordesza*, a Gosławski należał do rzędu poetów, którzy z wie- » kiem niecofają się, lecz postępując naprzód, zostawiają po sobie żal, iż skończyli » zawcześnie. . . » A. B.

Skończył zawcześnie MAURYCY GOSŁAWSKI, skończył w więzieniu, wśród szczęku żelaza siepaczy austryackich :

« Lecz krew nasza gdzie upadnie,
» Perła w morzu nieprzepadnie.
» Ciebie Matki, co bez pogrzebu,
» Błaka się po każdym kresie,
» Odszuka ją, zabierze, pół odda niebu,
» A pół na i Wisłę zaniesie! »

Oto są poemata Maurycego Gosławskiego : *Renegat* czyli *Odstępcu*, i *Banko*, przywiedzione w całości.

(*) Obacz *Powszechny Pamiętnik*, wydawany przez Leona Zienkowicza, w Krakowie, 1835 r. tom I, str. 396.

RENEGAT.

FANTAZJA.

Dwa hołuby wodu pyły,
 A dwa kołotyły ;
 Bohdaj tyśi ne rodyły,
 Siczto nas rozluczły ;
 Szczo naszymy słozonkami
 Sebe napojły.

Z PIEŚNI GMINNÉJ NA RUSI.

Bądźcie zdrowi ! jeszcze raz,
 Raz ostatni, chwilka, dwie,
 I nieujrzę wicęć was !
 I wy nieujrzycie mnie !

Bądźcie zdrowi !? kto? i gdzie?
 Kogo, tu? gdzie? żegnać mam?
 Jęk po jeku, łza po łzie
 Płynie, niknie, a ja sam !

Bądźcie zdrowi ! bądźcie zdrowi !
 Brakło tchnienia, brakło słów,
 A z najdroższych wygnańcowi,
 Nikt nieodrzekł : bywaj zdrów !

Polsko ! także to posagi
 Z progów twych unosi syn ?
 Nagie serce na świat nagi !
 Może lez twych niebył godny ?
 Ależ niebył i wyrodny,
 Za cóż karzesz go bez win ?

Na wieczną drogę męczeństwa,
 Żaden głos błogosławieństwa
 Niepokrzepił go.
 Nikt niknącego westchnieniem,
 Nikt współczuciem, współcierpieniem,
 Nikt niewspomógł łzą.

A jednak , jakaś szeroka,
Wszędzie, gdzieś, myśl skarb ma tu,
Droższy niż blask dnia dla oka,
Niż dla piersi kropla tehu.

Skarby ciężko zarabiane
Ceną serca i krwi téj,
Zaplakane, zacierpiane,
Krwawa własność duszy méj.

Na co spójrzę, wszystko drogie,
Ziemia, niebo, tyle lic;
Ja nic z sobą wziąć niemogę,
Potępieniec, nic a nic.

Jak najłichszym nędzarz żebrał
O garść świętej ziemi téj;
Żebrał, i cóżem odebrał?
Drwiący uśmiech zamiast niéj.

Drwiący uśmiech! ten skarb cały,
Matko! twój unosi syn!
Bo tam pewno świat już mały,
Pewno na nim brakło drwin.

Słusznie! poco cudzych Bogów,
Cudzych szyderstw szukać gdzie?
Kiedy można z własnych progów,
Od najdroższych unieść je.

Drwiący uśmiech! tą spuścizną
Obdarzyli w Polsce mnie!
O mój kraju! o! Ojczyzno!
Dusza moja wie żeś uboga,
Prócz rozpaczy, co pierś biedną targa twą,
Nic dziś niemasz, i tulaczy
Zaopatrzyć niemasz w co.
Niedasz laurów tryumfowi, ni pociechy słowa,
Bo nad tobą: knut, łańcuch i ciemność grobowa!
Lecz Bóg świadkiem duszy méj:
Żem nic niechciał z dloni twéj.
Łzy masz tylko, łzę mi daj!
Świat z nią przejdę z dumnym czołem;

A przy skonaniu, w nieba mi zawisne
 Ostateczną klątwę cisnę,
 Eżę pokażę i powiem : z Ojczyzny ją wziąłem !
 Nią plakał mój kraj !

A dzisiaj! drwiący uśmiech! ta tylko puścizna
 Na wieki mi pierś otoczy !
 Ten dar dała mi Ojczyzna !
 A konając gdzieś na stepie,
 Konającą myśl i oczy
 Raz ostatni w niego wlepię.
 Skonam, a w sercu zatrutem,
 I na potępionój twarzy,
 To wieczyste wzgardy piętno
 Żywym ogniem się rozżarzy,
 I ostatecznym wyrzutem
 Wspomni Polskę obojętną !

A gdy przyjdzie sąd ostatni,
 Jeżeli kiedy przyjdzie gdzie,
 Tym uśmiechem, kraju bratni,
 Wygnaniec, powitam cię !
 Nim przed Bogiem cię oskarżę
 O! i Bóg mię nie ukarze !
 Boś ty tak pożegnał mnie.

Kraju mój! ja na wygnanie
 Unoszę tylko niedolaną krew ;
 To moja własna, przy tobie zostanie
 Myśl moja i śpiew.

Bądźcie zdrowi! Z pozagóry
 Drży już blade światło dnia,
 A wygnańca wzrok ponury
 Opuściła gorzka łza.

« Dość, szaleńcze, dość już czuć!
 Weź pielgrzymi kij do ręki,
 I rozbratu piosnkę nuć,
 A te cnoty i te wdzięki,
 Te wspomnienia, łzy i jęki,
 Raz na zawsze w piekło rzuć.

« Bez nadziei i bez wiary,
 Z zawiedzioném sercem sam,
 Jedno mi dziś, step Sahary,
 Czy tu; nieba wszędzie jedne,
 Piersi z glazu, czoła miedne,
 Jedni ludzie, tu, i tam.

» Dajno Boże! byle koń,
 Byle rychlój lanca w dłoń;
 Pohulamy, póki młodzi,
 Gdzieś w pustyniach z wichrem w lot,
 Żadna pierś już nieobchodzi,
 Jeno w każdą puści grot. »

Dziko wicher października
 Po bezlistnych drzewach gnał,
 I twarz męża była dzika,
 Jak chropawe czoło skał.
 Lecz któż wewnątrz tych skał zbada?
 Może czysta złota żyła
 Ramiona tam rozpuściła,
 Jak zniszczenie, jak zagłada,
 W niedociekłej ich głębinie,
 Może wulkan lawą płynie,
 Lub ożywny źródł przepada.
 Ale nieme skał oblicze,
 Niepojęte, tajemnicze,
 Pewno tajni niewygada.

Twarz męża była niema jak grobowe wicko,
 I w przelotnym uśmiech biegu
 Igrał po niej zimowo, jak promień po śniegu,
 I lza niedostrzeżona drżała pod powieką.
 Łza dawna, nieotarta, jak bryzga kryształu,
 Dostygła po chwilach cierpień i zapalu,
 Dostygła! nim uśmiech dumy i pogardy
 Zamrozi ją, i nada kryształu hart twardy.
 Bo gdyby ją był dostrzegł, otarłby żelazem,
 Co mu w dłoni drżało;

Otarlby, lecz z okiem razem,
Co wbrew woli płakać śmiało.
Bo gdzie wola męża działa,
I na rozkazy krew da,
Tam niech w piersi wulkan pała,
Pierś i twarz ma być jak skała,
I jak skała milczeć ma.

A on zaczął nienawidzić,
On się zaczął lez swych wstydzić.
Nienawidzić! Kogo? Gdzie?...
Za co? Ha! Bógże to wie!...
Kogo?... Za co?... o! szczęśliwce!
Tobie światem twoje dziewczę;
Wszystkie cele przedsięwzięcia,
Cale niebo duszy twój,
Zawarłeś w krąg jej objęcia,
Utopiłeś w oku jej,
I u stóp twego dziewczęcia,
Niepojęto, dziwno ci,
Że pierś jakąś ból tam gniecie,
Że jest jakaś pierś na świecie,
Co się zawiedziona mści.
Wierzysz w miłość, w przyjaźń, w cnoty,
Uzdrowi cię wiara twa.
A na tamto pytanie, kiedyś w dniach tęsknoty,
Własne serce odpowiedź ci da!
O! i przyjaźń, dusza życia,
Wzniosła cnota, przyznasz sam,
Sam ją wielbię od powicia,
Sam jej równych mało znam.
Jeśli dobre niebo wcieli
Jedną duszę w piersi dwie,
Jak ta dusza przyjacielei
Różowe im przędzie dnie.
Pod jej hartem pierś oboja,
Jakby jasna stalna zbroja,
Wspólną siłą, silna trwa.
Biją wichry, palą ognie,
Rdza nie chwyci, młot niepognie,
Wszędzie odpór da.
Przyjaciele! o szczęśliwi!
Bez wątpienia was to dziwi,

Że pierś jakaś, bez pociechy,
 Bez współczucia, drży samotnie,
 I litośnemi uśmiechy
 Wsparliście ją wielokrotnie.
 Poczekajcie chwil niewiele,
 Wy, serdeczni przyjaciele!
 Przyjdzie wielkiej próby czas!
 A nim przyjdzie, wy tymczasem,
 Oszukujcie się nawiasem,
 To odpowiedź zagadki wywiąże się z was.

Miłość, przyjaźń, lekkie cnoty!
 Nieochronią od tęsknoty,
 W wyższe szczęście wierz!
 Ludzkość cała, i jój równy
 Twój rodzinny kraj,
 Niechaj będzie cel ci główny,
 Całą duszę zbierz,
 W takie cele mierz!
 W to mi graj! w to mi graj!

Miłość kraju dzisiaj w modzie.
 Jasne niebo coś się chmurzy!
 Tak tam głoszą na Zachodzie!
 Nawet i w Polsce, niektórzy
 Wierszopise piszą spiewki,
 Panie, anioły dobroci,
 Szyją piękne chorągiewki!
 A wszystko to patryoci,
 Kochają swój kraj!

Piękne rączki dla kochanków
 Tysiącami wily wianków;
 Wszystkie z mirtu, róż i lauru.
 A szalenięc, chcąc przynieść rozrywkę kochance,
 Chwycił za miecz i za lancę,
 A gorejąca zagłada,
 Na krwawych skrzydłach wielkiej nocy Listopada,
 Spłynęła na pola Grochowa i Wawru.
 Z wielkiej myśli, wielka siła
 Jak nowy świat się tworzyła;
 Orzeł, groźnym meteorem,
 Ulatywał przodem szyków,

Pieśni ludów, wielkim chórem
 Brzmiały polskiej cześci śpiew !
 A śladami bohaterów,
 Od Wawelu do Sybirów,
 Uplywała krew !

Dwa ludy się bawiły : ten, wtaczał okowy,
 Tamten zrzucal, a gradem sypały się głowy.
 I na taką rozrywkę patrzal świat jałowy
 W trwodze i zadziwieniu.
 On chciał z pod polskiego ciecica
 Wyjść czystszy, poprawniejszy, niżli po stworzeniu
 Wyplłynął z Twórcy objęcia ;
 Lecz Bóg drwiąco się uśmiechnął,
 Wstyd mu bylo tej poprawy,
 I odrodzenia podstawy,
 Skrzyżował i zwicznął.
 A krew ofiar i wielkie zmartwychwstania dzieło,
 W niezgłębiony grób Warszawy,
 Wyżej niżli z nieb runęło !

Otoż i po zabawie ! jakby nic niebyło.
 Śniło się coś na chwilę, lecz już się prześniło !
 A dźwięk kajdan, co na chwilę
 Ucichł był za owych dni,
 Znów tak wdzięcznie, znów tak mile
 Znaną sercom nutą brzmi.
 Tylko mała garść szaleńców,
 Co niewiedzieć czego chcą,
 Obląkanych potępieńców,
 Co niemają stracić co,
 Oprócz siebie, w świat odlogi,
 Bóg wie, po co, na co, gdzie ?
 Poszli przez rozstajne drogi
 Potępione pędzić dnie.
 Śmieszni ! każdy dumnie głosi,
 Że w swych piersiach kraj unosi ;
 Że ta jego pierś i głowa,
 Jest to Arka Narodowa,
 Której ziemia winna cześć.
 A dziś tę tulaczą głowę,
 Te świętości narodowe,
 Nagle przez świat musi nieść.

Górne cele ! cześć wam ! cześć !

Nudni ludzie ! po co zmian?
 Tak wygodnie jarzmo nieść,
 Taki dobry dal je pan !
 A choć szyja na obróży,
 Choć się łańcuch w szyję wpoi,
 Nim się knut dopyta duszy,
 Tymczasem się ciało zgoi.
 Byle było pić i jeść,
 Każde jarzmo można znieść ;
 A komu swój w niesmak chleb,
 Niechaj szuka cudzych nieb.

Oni poszli nieszczęśni ! los ich pognal ślepy
 Na morza nieznanome, na bezładne stepy.
 Bezsilnemu równe ziółku,
 Pod cudzemi płotami bohatérskie głowy !
 Bez schronienia, bez przytułku,
 A na wolnych ich rękach i duszach okowy.
 I na każdym świata kresie,
 Obaczysz gdzieś pierś tulącą.
 Nieszczęśliwi ! oni płaczą
 Za[tą ziemią rodzinną, której niezobaczą.
 Gdzie żaden kruk ich kości nigdy niezanie sie !
 Płaczą, a ich łzom gorzkim ni ulgi, ni końca !
 Jedna ulga, górne : *trwaj !!!*
 I każdy z tych szaleńców jest Polski obrońca.
 I każdy kocha swój kraj !

Ale tylko nie tak modnie,
 Romansowo i wygodnie,
 Jak rozliczni wielbiciele,
 Co kochali także go !
 Chorągiewki na kościele !
 Jak wiatr wionął tak się gną.
 I dziś ci, na zawołanie,
 Dwa puhury spełni synek,
 Niechaj żyje : Zmartwychwstanie !
 Albo : Wieczny odpoczynek !

Twoja myśi potępiénce nad Ojczyzną tkwi,
 Nad tą ziemią kochaną twoich łez i krwi !

Po bezlistnych pustyniach, każdy wiatru szum,
 Brzmi ci nutą rodzinną znanych sercu dum.
 Błędna gwiazdka na niebie tém ci światłem drży,
 Jak niegdyś w oku lubej drżała kropla lzy,
 Gdy płacząc cię na krwawy wysyłała bój,
 Gdyś żegnał raz ostatni stracony raj twój ;
 Gdy jasną chorągiewkę zlaną łzami jęj
 Przywiązałeś do lancy, a do duszy twęj
 Przywiązałeś jęj obraz, co jak gwiazdka czci,
 W bojach i na męczeństwie przewodniczył ci.

Męczenniku ! na wygnaniu
 Do dziś płaczesz ową łzą,
 Jakąś płakał przy rozstaniu,
 Z krajem twym i lubą twą !
 Utul tę pierś rozdartą ! daj pokój tój lzie!
 Tam cię , ni kraj, ni rodzina,
 Ni luba już niewspomina,
 Jakby nigdy na świecie niebywało cię.
 I z tém sercem, tą duszą, jaką tęsknisz tam,
 Gdybyś dziś tu zleciał sam,
 Świat twęj myśli, coś go żegnał,
 Co dziś żyje w twojój lzie,
 Jak upiora przeszłości ktrzyżemyb przeżegnał,
 I jedynymy uśmiechem okamienil cię !

O ! pozostań lepiej tam,
 Wszakżeś tutaj byłbyś sam !
 A step pusty jak pierś twa,
 Prędzěj sercu ulgę da.

Rok w rok, w stepach tam odlogich,
 Wędrujący klucz żurawi,
 Z Polski twojój, gości drogich,
 Niezawodnie ci się zjawi.
 A widok tu kochanych spójrzeniem niechętném,
 Zimném słówkiem, uśmiechem, sercem obojętném,
 Pewno serca niezakrwawi.

A z témi żurawiami tak miło czas płynie,
 Na samotnej pagadance,
 O Polsce nieszczęśliwej, o drogiój rodzinie,
 I droższėj od niėj kochance.



I tak, dwa razy corocznie,
 To odbierzesz, to dasz wieści;
 I dwa razy myśl twa spocznie
 W kraju twojej radości i twojej boleści.
 I zawsze ci, klucz żurawi,
 Miłą sercu wieść objawi :
 Że ród twój i Polska cała,
 Wraz z wyjściem cię zapomniła,
 A luba dobrze się bawi !!!

Nietroszcz się o jej zdrowie; zdrowa i wesola!
 Widziały ją żurawie, wracała z kościoła,
 Gdzie u stopni ołtarza, wieczystymi ślubu,
 Dłoń i serce twój lubej, inny zajął luby.
 A twoi przyjaciele, co družbami byli,
 Za zdrowie nowożeńców trzy dni z rzędu pili.
 Dobrzy! niezapomnieli wśród szumnej hulanki,
 I dla ciebie życzliwej przyjacielskiej wzmianki.

Tak ci rzekną żurawie mniej wycęj w pół roku,
 I żal ci serce ściśnie, i lza stanie w oku,
 A jednak nieuwierzysz i wykrzykniesz : klamią!
 Onaby mnie zdradziła? Nie! aż nadto znam ją;
 Ona mi poprzysięgła : « Do grobu i w grobie,
 « Wiecznie cię kochać będę, wierną będę tobie! »
 I spojrzysz na jej pierścienie, i w rysach pierścienia
 Dojrzysz, jakby w jej oku, klątwę zapewnienia.
 I znowu podawnemu, tak jak przed rozbratem,
 Ona ci na pustyni będzie całym światem.

Zostań! Zostań na stepach! widzisz oczywiście
 Ważne rozstania korzyście.
 Bo gdyby przyszło w kraju własnym okiem widzieć,
 Mógłbyś zostać szydercą, mógłbyś świat obrzydzić.
 Co większa, patryoci rzekną żeś niesłuszny,
 Boś mógł zacząć nienawidzić;
 A tak, dziś, wiarą niezłomną,
 Wierzysz jeszcze w dzień zaduszny,
 W którym i o tobie wspomną.

WĘDRÓWKA.

Po nużącym biegu,
 Stał na koniec pielgrzym na afryckim brzegu,
 I z obuwia swojej stopy
 Strząsnął rychłej pył Europy,
 Jakby się lękał za swojemi ślady,
 Wnieść zarody zniszczenia, klątwy i zagłady,
 Na tę ziemię gościnną, co pusta a dzika,
 Miała odtąd przytulkiem być dla męczennika;
 Na tę ziemię plag, nieszczęść, przekleństwa i sromu,
 Którą od Proroka dano,
 Ziemi egipskiej, niewoli domu,
 Zelżywe miano;
 A która wbrew prorokom, i proroków Bogu,
 Niewzbroniona, gdy wszystkie ziemie zabroniły,
 Wielkim synom upadku, wygnańcom Europy,
 Tulaczom Polski, na gościnnym progu,
 Męczeńskiej wędrówki pyły
 Otrząść ze znużonej stopy!
 Cześć tobie wielka ziemi! wszystko wielkie tu!
 Tyś przyjęła wygnańców do niewoli domu,
 Kiedy w krajach wolności ich duszom pociechy,
 Stopom ziemi, a głowom odmówiono strzęchy!
 To wyniosłe przyjęcie jak balsamy chrztu,
 Starło z ciebie zmazę sromu,
 Co kałał oblicze ci;
 I rzuciło jego brzemię
 Na europejskie ludy i ziemię,
 Bez ducha, wiary i czci!

Jakże wszystko tam niskie, a na twojém łonie
 Jak wyniosłe, jak zaszczytnie,
 W piramidalnej koronie,
 Twój przyszłości wiosna kwitnie!!!
 Jak dumnie piramida z siwem owém czołem
 Patrzy na wątle burze co przechodzą dołem.

Gromy czterdziestu wieków, o jój pierś z granitu
 Odbiły się i przysły jak o tarczę bytu.
 Laury czterdziestu wieków, trwałością granitną,
 Jak czterdzieście słońc jasnych na jój skroni kwitną.
 A u stop jój zwyczajkich kryje grob głęboki,
 Czterdzieście starych wieków pochowane zwłoki.
 Dumna! bo okrom słońca, nikt niezna wyvodu,
 Mglistych przygód jój piersi, i źródła jój rodu;
 Dumna! bo własna wielkość na ciosy zniszczenia,
 Jest bytu jój tarczą;
 A rękojmą własne tchnienia,
 Że same sobie wystarczą.

U stóp jój stał bohater, jedną o cud świata,
 Drugą ręką oparty na szyi bulata;
 Jak jenijusz wielkości, do góry spójrzenia;
 Czekał dumnie, aż na szczycie,
 Z głuchego się ockną snu,
 I wielka wieków myśl i życie,
 Jednym zdrojem natchnienia
 W pierś szeroką wpłyną mu.
 Czekał natchnień, tych niebłagał,
 Lecz jak winnej daniny dumnie się domagał,
 Bo czuł, że i trawki listkiem,
 I szczytem piramidy, co w chmurach przepadał,
 Bez podziału, jeden wszystkiem,
 Skinieniem swój woli władał!

Byłto Ibrahim, władzca owój strony świata,
 Gdzie rosą piramidy, a zamach bulata,
 Jako polot wielkiej myśli,
 Wielkim celom szlaki kręśli.
 Na bulacie tym z turbanu,
 Gorzał napis z alkoranu:
 « Jeśli dłoń nim prawa włada,
 » Tam, gdzie wstaje, gdzie spi słońce,
 » Od południa do północy,
 » W cztery wielkie świata końce
 » Sięgnie płomień jegd̄ mocy!
 » A miecz będzie jak zagłada,
 » Wierny dloni, jak świat duży
 » Ostrze jego się przedłuży. »

On wahał się, syn wielki afrykańskich błot,
 Czy dotoczyć swými stopy,
 Wierny jarzmu kark Europy?
 Czyli w pierś jęj zepsutą, z wielkości jęj szczytu
 Rzucić jahuźnę wolnego bytu?
 I zrobić ją arką cnót!

Wracała ta myśl wielkiej treści,
 W jego piersi szerokie, jak granice świata,
 I z dotknięciem rękojeści
 Przechodziła w pierś bulata.
 Aż jakby go nagła siła
 Nakazanego natchnienia,
 Nową myślą uderzyła;
 Zajaśniały mu źrenice,
 I wołą postanowienia
 Zapłonęło lice.
 Skinął natchnionóm żelazem
 Na te strony gdzie leżą europejskie brzegi,
 I jak groźne nawałnice,
 Wstały, za jego rozkazem,
 Nieprzeliczone szeregi,
 I odplynęły!

Kogoż straż od przedniej czaty
 Przed oblicze wodza wiedzie?
 Cudzoziemiec szedł na przedzie,
 I twarz jego odmienna, i nietakie szaty.
 I widno było w licu, z pierwszego spojrzenia,
 Walkę niszczącą, walkę dumy i cierpienia,
 I jawny przynus serca, co jakby z zakraty
 Młody więzień, patrzyło z pozanigły milczenia,
 I widną była pamięć jakiejś drogiej straty,
 Którą wiecznie w sercu chował;
 Którą chciał niepamiętać i ukryć koniecznie,
 Którą chciał nieżalować i zapomnieć wiecznie;
 A i ukryć niezdolał, i wiecznie żalował!!!

WÓDZ.

Witaj wędrowcze! z której krainy?
Z jakiej przychodzisz ojczyzny?
Tyś cudzoziemiec! Pewno z Palestyny
Idziesz od grobu Proroka,
Widzieć wyklęte nasze płaszczyzny?

CUDZOZIEMIEC.

Nie z Palestyny, nie z grobu Proroka,
Ale jak ziemia szeroka,
Szukam grobu dla siebie, bo ni mam ojczyzny,
Któraby mi dała gdzie,
Na swém łonie schyłku dożyć,
W swoim grobie, skroń położyć,
Bez ojczyzny! jestem : NIKT!!!

WÓDZ.

Nierozumiem cię,
I słowom twoim niewierzę ;
Ta ziemia gdzieś się rodził, którą myśl wybierze,
I za swoją w duszy przyzna,
Ta się u mnie zwie : Ojczyzna !
Jakąż z takich ziem, zwiesz twą ?

CUDZOZIEMIEC.

Taką ziemię : POLSKĄ — zwą!!!

WÓDZ.

Znam ją! Dość mi jej nazwiska!
Wielka!!!

CUDZOZIEMIEC.

O! jój zwaliska
Do dziś wielkie, trzy mogiły,
Trzy grobowe wielkie glazy,
Szersze od niej stokroć razy,
Dotychczas jój niezakryły.
Przywalona ciężkim głazem,
Spi groźno, świętokradzkim przesyta żelazem,
A zelżywa dłoń jój kata
Z łańcuchem i nożem,
Czuwa drżąca nad jój łozem !
Jój dzieci wierne, jedne padły pod obuchem,
Drugie jęczą w podziemiach okute łańcuchem,
A trzecie poszły błądzić po bezdrożach świata.

WÓDZ.

Zapewne wam brakło stali
 Żeście pierś jój przesyć dali ?

CUDZOZIEMIEC.

Jój losy-śmy i nasze na jeden miecz kładli,
 Billśmy się tak jak lwy !
 Bez porównań ! tak jak : MY !!!

WÓDZ.

Dla czegożeście upadli ?

CUDZOZIEMIEC.

Brakło jednego — takiego jak ty !!!

WÓDZ.

A też ludów milijony,
 Kiedyście wy stali z bronią,
 Co robiły ?

CUDZOZIEMIEC.

Puste dzwony
 Bez serca ci nie zadzwonią.....
 Klaskano nam , pito zdrowie,
 Wydawano za nas bale.....
 « Niech żyją polscy bohaterowie ! »
 I w tym samym dziś zapale
 Krzyczą : « Niech żyją Moskale ! »
 Czego ty chcesz od Europy ?
 Znikczemniona i okuta,
 Sama głowę gnije pod stopy.....
 Jak powietrza do jój tchnienia,
 Tak trzeba do jój zbawienia,
 Łańcucha i knuta !!!

WÓDZ.

A ty, czyś wygnaniec jój ?
 Czyś z serca ją rzucił ?...

CUDZOZIEMIEC.

Ja?... choćbym oczy zapomniał w niój,
 I po oczybym niewrócił !!!

MAURYCY

WÓDZ.

Gdzież dziś idziesz, czego chcesz?...

CUDZOZIEMIEC.

Tego niewiem sam....
 W mojem sercu życzeń mało,
 Prawie żadnych niezostało.
 Wyraźniejsze jedno mam....
 Jabym chciał tak jak ty chcieć,
 Grot u lancy ostry mieć;
 Możeby w takiej krainie,
 Gdzie obok lez i krew płynić,
 Lżej na sercu było tam....

WÓDZ.

Zostań przy mnie!

CUDZOZIEMIEC.

Pozostaję!

WÓDZ.

Niechże odtąd ziemia ta,
 Już ojczyzna będzie twa,
 I jak dzisiaj miecz ci daję,
 Tak onać grób kiedyś da!...

I patrzala natura z ciszą uroczystą,
 I patrzalo z wysoka jasne oko słońca;
 Na taką wielkość troistą...
 Wielki wódz! Piramida! i Polski obrońca!

WIEŚCI.

Obóz stał na dolinie, krwawa wrzała spieka;
 Spoczywali zdyszani, odrzucona broń.
 Tylko młodzian samotny błakał się zdaleka
 Z dumką tęskną, a przy nim, wierny jego koń

Chodził samopas. Szlachetne oblicze,
 I oko było piękne, jak serce młodziana,
 A włos lniany, powiewny, jak kosy dziewicze,
 Po zbroi naramiennej spadał z pod turbana.
 Piękny, szlachetny, wśród burzliwój dziczy
 Był jak Anioł pokoju, z uśmiechem słodczy.
 Ale czemuż, ta słodycz, tak spojrzaniu miła,
 Tak gorzkim się odcieniem z serca mu się lśniła?
 O! bo ta piękna dusza jeszcze nieochłódła,
 Bo to serce, jak wulkan w tajniach swego źródła,
 Wrzało w niém własną, gwałtowniejszą pieką
 Niż to niebo nad głową, a gorszą daleko.
 On wszystkie skarby swoje to stracił, to rzucił,
 Gdzieś w dalekiej Ojczyźnie; on stracił i ją!
 W stepach, tchnieniem przeszłości czuł, dumał i nucił,
 Płakał tylko obecną, nie z przeszłości lżą.

DUMKA.

Gdyby Orłem być!
 Lot sokoła mieć!
 Lotem orlim lub sokolim,
 Unosić się nad Podolem,
 Tamtém życiem żyć.

Droga ziemia ta,
 Myśl ją moja zna!
 Tam największe szczęście moje,
 Tam najpierwsze niepokoje,
 Tam najpierwsza lża!

Tambym noc i dzień,
 Jak zakłętą cień,
 Krążył nad nią jak wspomnienie,
 Pierś orzeźwiał, czerpał tchnienie,
 Z tamtych lubych tchnień!

Gdyby gwiazdką być!
 I w obłokach tkwić;
 Jasném okiem w noc majową
 Nad kochanki mojej głową,
 Do poranka ćmić!

Albo z poza mgły,
 Zsyłać słodkie sny,
 Jak w jeziora tle przejrzyśtym,
 Odbijać się światłem czystym,
 W kropelce jój lzy!

Takbym noc i dzień!
 Jak zakłęty cień,
 Niewidzialnym patrząc okiem
 Zachwycił się jój widokiem,
 Boże! w gwiazdkę zmień!

Próżno się tych dni
 Obraz w duszy śni;
 Zapłacz luba gorzkim płaczem
 Nad kochankiem, nad tułaczem,
 Co był miłym ci!

Potępieni my!
 Wspomnieć serce drży;
 Orły lecą, gwiazdy cieką,
 Kraj w okowach, ty daleko,
 A w okolo lzy!

Nucił młodzian białowłosa;
 Tęskna była dumka ta,
 I jak czysta kropla rosy,
 Z oka jego spadła lza,
 Eza z ped serca.
 A na stronie, mąż w turbanie
 Stał, i szydersko patrzył po młodzianie;
 Potem naprzód zrobił krok,
 I zatopił orli wzrok
 W lice młodziana.
 Aż do głębi serca
 Wdarł mu się wzrokiem szyderca.

MAŻ W TURBANIE.

Czule nucisz! Widno bracie,
 Że dotychczas, po utracie

Nieb rodzinnych, drogich lic,
 Niestraciłeś jeszcze r'ic.
 Dobroduszna wiara twa,
 Jak za złotych czasów trwa!
 O szczęśliwy! nuć i graj!
 To tak miło kochać kraj!
 « Byle orle skrzydło mieć,
 » Jasną gwiazdką nad nim lśnić,
 » Jasném okiem w noc miesięczną,
 » Nucić luběj dumkę wdzięczną!»
 Słodki romans! W Syrii slyszeć taki spiew
 O Polsce. A w téj Polsce, twoja dumka, lzy,
 I twój wieniec męczeński i rozlana krew;
 Wszystko tak zapomniane jak i cały ty!
 Dziwny! chcesz na świata koniec
 Unieść serce luběj twój,
 Marne chęci! jest tam Doniec,
 Tatar, Kirgiz, bliższy jój.
 Kraj w okowach! z tém ci źle,
 Cóż ci szkodzi, w kraju tym
 Na najgłębszém duszy tle,
 Radość i wesele rośnie,
 Chodzą w jarzmach tak radośnie,
 Sambyś pozazdrościł im!
 Drogąć Polska! musiłeś ją bronić,
 I umiałeś ją kochać, bo umiesz lzy ronić.

MŁODZIAN.

A tyś musiał nienawidzić:
 Bo umiesz z jój bezbronnój i z lez po niój sztydzić
 Ale powiedz kto ty! kto?
 Zkąd cię tu przywodzi Bóg,
 Ty syn Polski, czy jój wróg?

MĄŻ W TURBANIE.

Ani tamto, ani to;
 Dla mnie każdy świata kraniec,
 A na nim każdy manowiec;
 Ja własnej myśli mieszkaniec,
 Ja własnej piersi krajowiec;
 I gdyby mnie Bóg spytał sam:
 Jakiój ja zjemi syn?
 Jakich mieszkaniec ja stron?

Niescierpiałbym takich drwin!
 I rzekłbym mu : że jak on
 Jestem wszędzie, tu i tam.
 Nazwij mię : nikt, albo kto,
 Dla mnie dobre to i to.
 Bo ja do sądnego dnia,
 Będę wiecznie tylko : ja.

MŁODZIAN.

Lecz ty polską mówisz mową,
 A mnie droga mowa ta ;
 Mnie téj mowy każde słowo
 Z najgłębszego duszy tła,
 Milijony wspomnień wskrzesza,
 Myśl tam niesie, wzrok zawiesza,
 Gdzie ojczyzna ma.
 A ty pewno idziesz z nią ?....
 Co się dzieje tam z rodziną ?
 Co tam z Polską nieszczęśliwą ?
 Biedna ziemia ! tam lzy płyną !!!

MĄŻ W TURBANIE.

Jako żywo ! jako żywo !
 Taka radość ! takie bałe !
 A co większa, bez ukazu !
 Było smutno, były żale,
 Krzywiono się trochę zrazu,
 Lecz was niema, są Moskale !
 A serce, ty wiesz, nie z glazu !!!
 A tak, po niedługiej chwili,
 W sercach ziomek, w sercach ziomek,
 Od pałaców aż do domków,
 Zupełnie was zastąpili.

MŁODZIAN.

Biedna ziemia !!! syn ! szyderca !
 Urąga się nad twym losem ;
 Słuchaj ! lub ty niemasz serca,
 Lub niemówisz jego głosem.
 Choćby nas tam zapomniano,
 Dusza wiecznie ich pamięta ;

Tamtę ziemię ukochaną,
 I ich biednych cisną pęta.
 Bez nadziei, bez pociechy,
 W więzach myśli, w próchu głowy.
 Tam uśmiechy ?.. Nie! uśmiechy,
 Tam na sercach kir grobowy!!!
 Upadliśmy; ichże winą
 Że nas od nich przepaść dzieli;
 O! wierz! szczerze lzy tam płyną
 Tylu braci, przyjacieli,
 Ojców, matek, kochanek i obywateli!

MĄŻ W TURBANIE.

A szczególnie kochanek i obywateli;
 Zazdrościłbym, ziomku młody,
 Gdybym mógł zazdrościć czego:
 Tęj cierpień twoich pogody,
 I łez co z twych oczu biega,
 I świeżości myśli tej,
 I żyjącej wiary twój.
 Możeby po niszczącym cierpień gradobiciu,
 Jeszcze jaka zieloność zabłysnęła życiu,
 I konałoby było lżej.

MŁODZIAN.

Przestań pierś żółcią truć!
 Tę nienawiść w piekło rzuć!
 Łzy się niewstydz, ni z niej szydź,
 A szczęśliwszym możesz być;
 Możesz jeszcze zacząć żyć,
 Tylko zacznij pierwój czuć.

MĄŻ W TURBANIE.

Ja usłucham twoich rad,
 Zacznę wierzyć, kochać, czuć;
 Lecz zniszcz wprzód wspomnień jad!
 Ukój wszystkie w sercu rany,
 Zagój każdy cios zadany,
 I dawne mi serce wróc.

MŁODZIAN.

Czyś ty kiedy z ludźmi żył?
 Czuł jak czują? chciał jak chcą?

Czyś ty kiedy, z życia czary,
 Ich słodycze i jad pil?
 Czyś ty kiedy skrzydłem wiary
 W najwyższe się niebo wzbil?
 Czyś ty kiedy kochał co ?

MĄŻ W TURBANIE.

Czułem już, i wierzyłem, i kochałem dość;
 A im nieba byłem bliżej,
 Tém na ziemię spadłem niżej.
 Im wyższe niegdyś cele męzką pierś żywily,
 Tém większą w nią zostawily
 Tęsknotę i czczość!!!
 I gdzie dzisiaj okłem rzucę,
 Gdzie bezchętą myśl obrócę,
 Jak świat wielki, tu i tam,
 Tam byłem, to widziałem; to czułem, to znam,
 Słuchaj! ja tobie powiem: znasz ty rzekę Zbrucz?
 Znasz ty jój okolice ?

MŁODZIAN.

Zbyt niestety znam!
 Spytaj mojego serca, i myśli, i lez,
 Powiedzą ci: tam ród mój, i niebo me tam!

MĄŻ W TURBANIE.

Moje także było tam.
 Znałem, nieznałem nic,
 Ujrzałem ją, to los nasz.
 A znać? I ty widzisz mnie,
 A czy powiesz, że mnie znasz?...
 Kto była ona? kiedy? gdzie?
 Na nic ci się nie zda to,
 Tak, jak nie zdało się mnie,
 Ujrzałem ją, to ci dość,
 I z téj chwili, noc i dzień,
 Z oczu, z myśli, drogi gość,
 Ani z serca, ani z tchnień,
 Niewyszedł już obraz ten.
 Miły to był, szczęśliwy, czarujący sen,
 I kazano wierzyć weń;
 A dusza przy jego stopach, jak zaklęty cień,
 Tkwiła odtąd noc i dzień.

Wszystkie cele i życzenia,
 Całe niebo duszy mój,
 Zawarłem w krąg jej spojrzenia,
 Utopiłem w oku jej!!!
 Z wiarą dziecka, dziecka okiem
 Spoglądałem w oko to,
 Co za ponurym dni moich obłokiem,
 Jaśniało jak nieba nieznajome tło.
 Lecz ta jasność wkrótce znikła,
 To niebo nieodstępną pokryło się mgłą,
 A śmiertelna źrenica widzieć nienawykła,
 Piolunową zaszła lżą.
 Słuchaj! Czy tobie kiedy wydzierano duszę?
 Lecz ty *Polak*, to pewno znasz *wszystkie* katusze!
 Wiesz zatem i znaczenie tego słowa : *muszę!*
 Wiesz : kiedy wylegnione w sercu tajemnice
 Raz się w powinność zamieniają,
 I jak oddech nawałnicy,
 Różne marzeń barwami suchot pozielenią.
 Wtenczas na licach męża nieszukaj uśmiechu,
 Nieszukaj lzy na źrenicy,
 Ni w piersiach życia oddechu;
 Ja *musiałem* ją rzucić!

MŁODZIAN.

Z jakiejże przyczyny?

MĄŻ W TURBANIE.

Spytaj, i nieba, i piekła!
 I mnie, i ją, i siebie.
 I onaby niedociekła,
 I ja niewiem żadnej winy.
 I ty nic niewiesz, zapewne niewiedzą i w niebie;
 Lecz *powinność* tak wyrzekła;
 Powinność ta, i rozum, te przekłete słowa,
 Wrogi szczęścia, co każą pierś przed sobą korzyć,
 Najgłupsze, jakie ludzka wymyśliła mowa,
 Albo kiedy Bóg mógł stworzyć.
 A jednak, gdy Bóg ten swoje niebo rzucił,
 I rozpięty na krzyżu powracać mi kazał,
 Złamaniem powinności piersi bym niezmazał,
 Do Polski i do Limy wiecej bym niewrócił.

MAURYCY

MŁODZIAN.

Lima? !... Coś ty rzekł o Limie?
Brzegi Zbrucza, i to imię!...

MĄŻ W TURBANIE.

Krucze pióra na warkoczach,
I otwarte niebo w oczach.

MŁODZIAN.

I pierścień z cyfrą: Z.

MĄŻ W TURBANIE.

(tój!

Patrz! czy nie ten?

MŁODZIAN.

Nieba! mój!

MĄŻ W TURBANIE.

Powiedz: był twój, dziś, już nie!
Zwyczajną rzeczy przemianą,
Darowany, darowano mnie!!!

MŁODZIAN.

Jakże mię dręczysz boleśnie!

MĄŻ W TURBANIE.

Ja? ciebie? przepraszam, niechący!
Słuchaj! ja cię znam;
Tyś Zdzisław!

MŁODZIAN.

Tak!

MĄŻ W TURBANIE.

Więc ten sam!
Czekaj! ja cię pocieszę. Tyś chciał z Polski wieści!
Ważne rzeczy, i bardzo zajmującej treści;
Tam ciebie wspominają bardzo wiele osób,
Ci czule, ci poważnie, każdy na swój sposób.
Byłem świadkiem tylekroć, a na jednym balu,
Pomnę, byleś przedmiotem ogólnego żalu.
Był to bal chrześcijański, gdzie, podług zwyczaju,
Grano w karty, tańczono, radzono o kraju;
I jakby w Dzień Zaduszay, grzmiał puhar godowy.

Kaznodzieja radości : — Cześć pólskiej odwagi !
 Cześć tych ! co pod Warszawą położyli głowy !
 I wieczny odpoczynek męczennikom Pragi !
 Mówiono o bohaterach :
 Co polegli, co zostali ;
 I o tych co ofiarą jęczą po Sybirach !
 Wesole egzekwije ! pobożna zabawa !
 Nakryto stolik, weszła herbata i kawa,
 A z nią dalszy ciąg wspomnień, to klęsk, to nadziei,
 I niepamięć ktoś z kolei
 Przypomnił Zdzisława ;
 Zdzisław ! żalonym wszyscy powtórzyli szmerem ;
 I tyś jeden rozmowy został bohaterem.
 Ach ! jak on pięknie tańczył, powtórzyły panie,
 Jak śpiewał ! i jak miło grał na fortepianie !!!
 Czy pan nieznał Zdzisława?... z piękniemi oczyma,
 Z cichém nieco westchnieniem zapytała Lima ;
 Biédny!... — Czy zginął w boju?... — Nie ! ale zapewna
 Gdzieś tuła się wygnaniec!... — Czyś pani mu krewna?
 Czy tak dobra znajomość?... — Nie ! odpowiedziała,
 I spójrzała na pierścień zrumieniona cała.
 Pojąłem tajemnicę. — Wtém na drugiej sali,
 Przypadkiem, czy unyślnie, Mazura zagrali.

MŁODZIAN.

Jakiż koniec tych dziejów ?

MĄŻ W TURBANIE.

O ! bardzo ciekawy :
 To było na początku, a w końcu zabawy,
 Ten zakład, sercu drogi bez wątpienia,
 Był już na mojej ręce. O ! tego pierścienia !
 Niekupilbyś ode mnie i kosztem zbawienia !
 Oddając mi go rzekła : « Tę pamiątkę drogą,
 » Co mi zawsze była miła,
 » Panu tylko dać mogę ; więcéj dla nikogo
 » Tegobym niezrobiła. »

MŁODZIAN.

Niewdzięczna !

MĄŻ W TURBANIE.

I owszem, pamięta,
 Pamięcią uroczystą, od wielkiego święta.

Bezbożny! tyś mi wydarł tę własność jedyną,
Którąm uniósł z Ojczyzny, te słodkie złudzenia,
Tę wiarę, tę pociechę.

MĄŻ W TURBANIE.

Szkoda, bez wątpienia!!!
O cóż jeszcze spytasz tam?
Ja tam wiele osób znam.
Znam całą twą rodzinę. Starsza siostra miała
Właśnie przed mym odjazdem, wyjść za generała;
Tatar rodem; lecz wcale w nim nieznac Tatara,
Bo dostał tytuł grafa za szturm przy Warszawie.
A o młodszą kozacki pułkownik się stara,
Rzecz skończona prawie!
Rosną domu zaszczyty, i blask się podwaja,
Ojciec dostał przed śmiercią krzyż od Mikołaja,
A brat twój, jak slyszalem, tyle drogi ci,
Nie mógł służyć krajowi, a przyczyna ta:
Że pleć delikatną ma,
A kraj niema prawa żądać poświęcenia płci!!!
Jednak dla zwyczaju
Emigrował z kraju
Na drugą stronę Zbrucza. Ale z końcem wojny
Powrócił z Galicyi, i jest już spokojny.
Wrócił, gdy ojciec był już na śmiertelném łożu;
Tkliwy ojciec na życia i śmierci rozdrożu,
Posłuszny głosu serca i twojemu bratu!
Brat posiadał w całości
Wielkie rodu zaszczyty i rozległe włości
Prawem majoratu;
A ty, żeś się w spisie buntowników liczył,
Ojciec z praw i z imienia ciebie wydziedziczył!!!

Ale słuchaj, ichże winą
Że nas przepaść od nich dzieli?
O! wierz: wierne tam lzy płyną!
Tylu braci, przyjacieli,
Ojców, matek, kochanek i obywateli!

Lecz pocóż te czule wzmianki?
Bez powrotu znikłych dni,

Kraju, brata lub kochanki,
Im się o nas ani śni !
Słuchaj ! stalna pierś bułata
Stanie za pierś stalną brata ;
A pod sobą dzielny koń,
I posłuszna sercu dłoń,
Za rodzinę, kochankę, i za resztę świata !!!
Zda się dziś będzie bitwa, więc będziem się bili,
Słusznie ! bo ci zbrodniarze
Sułtana się ośmielili
Mieć oliwne twarze ;
I z takimi twarzami dumnie powiedzieli
Z europejskich krańców :
Dla czego Afrykanie nie tak jak my bieli ?
Zniszczmy Afrykańców !
Samże przyznaj ! groźba taka,
Jest obrazą dla Polaka ;
U którego w świecie strona
Każda, która uciśniona,
Równie jemu ulubiona.
On, z najlepszej w świecie chęci,
Za cudzy byt się poświęci.
Za słowo : *honor*, co niema znaczenia,
Za słowo : *chwała*, co straciło treść !
Dla pierwszej myśli lepszej, dla wyobrażenia ;
Bo niemoże nigdzie znieść
Niewoli i barbarzyństwa.
A dziś bić się różnic niéma :
Za Francuza, za Niemca, czy za Ibrahima,
Lub za podobne dzieciństwa.
Słuchaj ! A my nieodrodni
Będziem się bić za wolność i granice Wschodu,
By mogli Ibrahima tak jak będą chcieć,
Białe twarze lub czarne bez przeszkody mieć.
A jeśli nam równą ceną
Tu zapłacą jak i tam,
Jeśli i ztąd nas wyżeną,
Wszystko jedno nam.
Nieodrodni naszych rodów,
Dobrowolnie czy przymusem,
Pójdziem szukać Antypodów,
By na równi stać z Chrystusem.
Na ziemi go powieszono !

A on ze szubienicy twardego ramienia
Zstąpił w glucho piekiel lono,
Dokonać wielkie dzieło — Męki i Zbawienia!

Prawda! Piękne wykrzykniki!
Takich mnóstwo ci powiedzą
Francuzkie, niemieckie i polskie dzienniki!
A nadewszystko wielcy ludzie owi,
Co za ludzkość w gazetach umierać gotowi,
A spokojnie w domach siedzą.
Wierszy ci mnóstwo nakleci
Jeden, i drugi, i trzeci,
I dziesiąty poeta; ci zwłaszcza poeci,
Co za Polskę walecznie umierali w rymach,
Bez rozlewu krwi drogiej, po Dreznach i Rzymach.

Słuchaj! dziś będzie bitwa. Jeżeli ja zginę,
Weźmiesz sobie ten pierścień, to dobro jedyne;
Cudowna jego władza liczne ma korzyści!
Naprzód, broni od zawiści!
Jeśli kto przyjdzie, drugi i trzeci
Do obozu Ibrahima,
I wspomni ci słowa: Polska, Zbrucz lub Lima,
I pokaże pamiątkę znań ci i drogą;
To pamiątka w twém sercu gniewu nieroznieci,
Bo on jest od pamiątek, dobrodusznój wierze
Taka tarcza nieprzeparta,
Jak chrześcijańskiej piersi, krzyż albo szkaplerze
Od napadów czarta!
A bez niego, pierś podwładna
Nakazaną nutą brzmi,
Wszystkie, jedna albo żadna,
Wszystko jedno mi.
Bądźmy przyjaciółmi, walczmy obok siebie!
Ja ciebie niezawiodę! Nie! w żadnej potrzebie,
A ty, słuchaj! możesz mnie,
Jak chcesz, zawieść, albo nie.

Natura jak świątynia, i na każdym kresie,
Mily bóstwu serca śpiew,

Wygnańcom świat ojczyzną, i gdzie ich zaniesie
 Nieprzeparty losu gniew,
 Każda ziemia, ta, lub inna,
 Przyjazna lub niegościinna,
 Każda grobem zapłaci za rozlaną krew !
 Wszędzie ceny jednakowe,
 Wszędzie dadzą grób za głowę ;
 Bo serca nieplacone, bo tak obojętne,
 Czy które dla ludzkości całą siłą wrzało,
 Czy w piersi somoluba drzymało bezchętne,
 Byleby raz bić przestało,
 Jedna dla obu zapłata, jedna niepamięć dla obu ;
 I zysk, przemiana miejsca, z lodowego świata,
 Przechód do zimnego grobu.
 A jednak na rodzinnej, ukochanej ziemi,
 Pod sklepieniem niebios jej,
 Milsze szczęście, cierpienia, i między swojemi
 Ach ! i konać lżej !!!
 Lecz jeśli niepodobna ! o ! to w takim razie,
 Konając nie za swoją, na wroga żelazie,
 Ostatecznym westchnieniem kroplę tej krwi czystej
 Ślubuj niebu, za dolę krainy ojczystej !
 A wszędzie Matka ziemia lepsza od twych braci,
 Przyjmie ci ją w rachunku i grobem zapłaci.

Dwie chorągwie rozwite wiały przeciw sobie,
 Z jednakiemi godłami, z księżycami obie ;
 Obie w imię Proroka : co u sklepień Meki
 Zawisł, jako myśl wielka u niebios sklepienia,
 Na sile niewidomej kołyszą go wieki,
 I spi, aż się przebudzi na sąd przyrodzenia.
 Pod jedną z tych walczyli synowie Iślama,
 Druga wiała nad głową synów Izmaela,
 I piersi pobratane, lecz je rzeź rozdziela,
 Rzeź krwawa, uporczywa i nieublagana.
 Szło o to między braćmi : jakiego czcić Pana,
 U którego szpony większe,
 U którego stryczki większe,

Którego dłoń wprawniejsza nakładać okowy,
 I kto im nadal będzie odrąbywać głowy?
 Zagadka była trudna, a w całej zagadce
 Odkrytj, nieodkrytj, korzystali władce.
 Było o co wieść boje!

Niedawni czasy,
 Dwa ludy pobratymcze także szły w zapasy
 Nad świętym brzegiem Wisły, ale tam nie o to
 Czyje więzy twardszj gniotą,
 Czyje miłościwsze knuty?
 Tam Naród Męczenników do krzyża przykuty,
 Zapragnął zmartwychwstania przed obliczem świata!
 Oł swj dłoni, od swj stali,
 Chciał żadnego niemieć kata.
 A na ostrzu jego kosy,
 Spoczywały jego losy
 I tych, co go krzyżowali.
 W takiej walce nie żał przecie
 Pierś osadzić na bagnecie.
 Lecz ludzie, co z psim męstwem na siebie się miotą
 W najnikczemniejszym zamiarze,
 Przed tym, czy przed tymi despotą
 Upadać mają na twarze?
 Nie warte tłumy takiego motłochu,
 Naboju polskiego prochu!

Jednak, patrzaj! dwaj męże z oszczepami w dłoni
 Z tego Ludu Męczenników,
 Z pod górnych owych znamion Orla i Pogoni!
 Lecą na czele Ibrahimskich szyków,
 Z najwznieśliwszj męstwem owj,
 Z jakiem szli po listek lauru,
 Męczennicy pod Grochowem!!!
 Tak więc łatwo z pamięci lada wietrzyk wywiał
 Cel, co serca ich ożywiał
 Na równinach Wawru?.....

O! zaprzestańcie oszczerce!
 Taką mową duszę truć!
 Jedna Polska jest na świecie,
 Jedno tylko polskie serce,

I lza, a wy niemożecie
 Polskich cierpień czuć!
 Dla tulaczy, dla wygnańców,
 Jak świat wielki przed oczyma,
 W kręgu czterech jego krańców
 Piędzi ziemi na grób niema.
 A którażby pierś polska śmiała się zadłużyć
 Jałmużną grobu, pod głowę podróżną,
 Gdy Matka Polska nie w siłach odsłużyć
 Nikomu równą jałmużną?
 Miléj obcym za grób służyć,
 Niż czuć się dobrodziejstw dłużną.
 A krew nasza gdzie upadnie,
 Perła w morzu nieprzepadnie,
 Cień Matki, co bez pogrzebu
 Błąka się po każdym kresie,
 Odszuka ją, zabierze, pół odda niebu,
 A pół nad Wisłę zanieśie !!!

Krwawe było spotkanie ; zniweczeni, zbici,
 W zamieszaniu, w nieładzie, pierzchli Islamici ;
 Bo miecz, jak myśl Ibrahima,
 Tamy niezna, zawad niema.
 Zwycięzca po szerokim spoglądał przestworze,
 I wrogów już niebyło, oprócz pod kopytem,
 Trupa albo kaleki, co bezsilnym zgrzytem,
 Już mu do Carogrodu drogi nieprzeorze.

Zbierali z pola rannych ; i patrz, między niemi
 Niosą męża w turbanie, młodzieniec szedł przy nim,
 Jak Anioł stróż płaczący nad dziecięcim ziemi.
 Mąż ciężko był raniony, a po licu siném
 Purpurowy źródł krwi spływał ;
 Ranny przez środek czola, on już dogorywał ;
 Wódz poznał to spójrzenie, i to dumne lice,
 I podał gasnącemu braterską prawicę ;
 I lza niema zwycięzcy wyszła na zrenicę :
 « Tyś wart grobu w każdej ziemi !
 » Boś mógł każdej być ozdobą,

» I konasz między swojemi :
» Boś ojczyznę przyniosł z sobą. »

On niesłyszał ! on był sam !
On żegnał się z pierścieniem, słowa : *Polska, Lima,*
Powtarzał niewyraźnie. Ku Polsce oczyma
Zwrócił, łzy się puściły, i wzrok zastygł tam !!!

I patrzała natura z ciszą uroczystą,
I patrzalo z wysoka wiekuiste słońce
Na taką wielkość troistą :
Wielki wódz ze łżą w oku, wsparty na oszczepie,
I Męczennicy, dwaj polscy obrońce !
Ten, legły, martwém licem dumnie się uśmiechał ;
A ten, piękny, samotny kwiat na cudzym stepie,
Łżą tyłką polewany samotnie dosychał !!!

O ! ileż razy ujrzy taki zgon tułaczy
Cudza natura, step cudzy, i słońce ?
Polskaż tylko niezobaczy,
Jak konają jój obrońce !!!

PRZYPIS DO LIMY.

Limo ! czyś ty widziała wierzch Etny chropawy,
Ów cichy, ów spokojny, tak jak moje lice ?
Lecz na nim kwiat niekwitnie, ni wieniec murawy
Rozraduje uśmiechem przechodnia źrenice.
Albo pierś jego krwawe pożerają lawy,
Niszczące jak mojego serca tajemnice.
Zadumany, mileżący, zimny i ponury,
Sam jeden, bez współczucia wśród żywej natury,
Czasem westchnie ku niebu, tém westchnieniem głuchém
Chce sercu przynieść ulgę, ale to westchnienie
Jest tylko lawy wybuchem.

Ulgę nieda, a w okolo rozleje zniszczenie,
I pierś znowu wrę w sobie, a tam u podnoża
Kwitnie wdziękiem jutrzeńki młodociana róża.

Czarujące, dziewicze, świetne jój zawoje
 Jaśnieją krasą życia, jak oblicze twoje,
 Szczęśliwa, niepojmuję, co ten wybuch znaczy,
 I zdradliwsze od niego milczenie rozpaczy.
 Limo! i ty szczęśliwa, ty na moich licach
 Widzisz uśmiech, jak kwiatek, co kwitnie na grobie;
 A męki, co się żarzą w serca tajemnicach,
 Niepojęte tobie!

Mnie powinność przykula, jak więźnia z za kraty,
 Do nietwoich przeznaczeń, piękna różo polna!
 Mój udział, niema rozpacz, gorzka łza utraty,
 I życie bez powabu, tak, jak śmierć powolna,
 Widzieć przyszłość bezbarwną, jako szkielet nagi!
 Żal kończyć, a przedłużać niestaje odwagi!
 I uśmiech gra na licach, uśmiech pałacowy,
 Świąteczny, nakazany, umyślny dla świata!
 A w sercu ból głęboki, zimny i stepowy,
 Wkorzeniony i wieczny jak moja utrata.
 Cierpienia już, w tój piersi, tak były dziedziczne,
 Jak w stepie ukraińskim zboża podoliczne,
 Co niesiane z jesieni, z każdą nową wiosną,
 Na niwie niezoranęj samorodnie rosną!
 Dzisiaj, Limo! już wszystkie wyśmiane uśmiechy,
 Już wszystkie moje wyplakane łzy!
 Dziś już, zimny szyderca, nie nam nic prócz pychy,
 I zmieniam się w kroplę rdzy.
 Jad gangreny, albo dżumy,
 Będzie treścią mojej dumy,
 Którą twém imieniem zdobię,
 I śmiem tobie w darze nieść.
 Przyjm ją, Limo! Wszak równo obojętne tobie
 Autor, i duma, i treść!
 Przyjm ją! Może obraz znikłych dni
 Zalśni światem uśmiechu, albo zadrzy łzą!
 Może przypomni ci przeszłość twą,
 Jaśniejszą, słoneczniejszą niż dziś twe nadzieje!
 Zresztą, Limo! Przyjm, lub nie!
 Rdza niszcząc, sama zniszczeje!
 Lecz nieprzestanie być rdzą.

BANKO.

FANTAZJA.

ROZSTANIE.

Oj wyjdu ja nad ryczeńku,
Taj machnu rukoju,
Oj wernysia kozaczeńku!
Zhynu za toboju!

PIEŚŃ GMINNA PODOLSKA.

Kłęczal przed nią, i ze łzami
Całował jój drogą dłoń ;
Żegnał ją — a za wrotami
Czekał i rzał wrony koń.
I w dziewczęcia zbladlém licu
Widny był ślad dum i lzy
Wydatniój, jak na księżycu,
Tleje ciemna plamka rdzy.
Niewyrzekła ani słowa,
Tylko się łez puścił zdrój.

« Zoro moja ! bywaj zdrowa ! »

— « Bądź zdrow ! bądź zdrow ! luby mój !

» Idź i wracaj ! ty codziennie
» Obecny będziesz mój lzie,
» Wiecznie, stale, nieodmiennie
» Zora będzie kochać cię ! »

— « Ja ci wierzę ! ta wiara, jak spójrznie twoje,
» Jak Anioł stróż nad duszą, wiecznie będzie czuwać,
» I rozstania niepokoje
» Od mój piersi odsuwać.
» Ja ci wierzę ! ta wiara, jak twoje wspomnienie,
» Tęsknoty niedopusci i trwogę rozzenie »

— « Niełękaj się, mój luby ! ja cię będę sądzić
» Sądem mojego serca, ja ci będę strażą

- » Przed mojémi myślami, co się nieodważa
 » Oskarżyć cię przedemną : abyś mógł pobłądzić.
 » Lecz słuchaj! Zora prośbę do ciebie zanosi
 » O jedną łaskę małą i niewinną!
 » Ty się może rozgniewasz, znajdziesz ją dziecinną;
 » Lecz to dla twego dobra Zora ciebie prosi,
 » Wykonasz ją, mój luby? 'daj mi na to słowo! »

— « Zoro! i na me życie! Masz je — i dotrzymam
 » Sercem i dłonią gotową. »

- « Ja twoją — ty wiesz o tém, ja siebie już niemam!
 » Moje myśli, uczucia, mój świat, mój byt cały
 » W twoją pierś się przeniosły i tobą zostały!
 » Twój niepokój jest dzisiaj moim niepokojem,
 » Mojém twoje cierpienie i twe szczęście mojém.
 » Słuchaj! w chwilach rozstania, jeżeli ci się zdarzy
 » Ujrzeć jaką twarz inną, piękniejszą od mojej,
 » Jeżeli będzie taka szczęśliwa dziewica,
 » Co sercem kochajacém i pięknością lica,
 » Zaćmi pamięć twojej Zory;
 » Jeżeli w duszy ujrzysz, że już od téj pory
 » Zawadza ci w niej obraz obojętny : Zory!
 » Wspomnij : że twój niepokój, moim niepokojem,
 » Że i twoje cierpienia i twe szczęście mojém;
 » I dla mojego szczęścia, zakaż twój pamięci
 » Wspominać mnie przed tobą — wspomnieniem bez chęci.
 » Kochaj ją — niech ci ona cały okrąg świata
 » Zastąpi; niech ci będzie dni twoich ozdobą,
 » A dla mnie zostaw kłiwą pamięć brata,
 » Mój luby, bądź sobą!
 » Nie lękaj się lez moich, ni mego przekleństwa!
 » Jeżeli Iza lub głos mój wzieś się w niebiosy,
 » Ta Iza, jak kropelka rosy,
 » Będzie tylko dziękczynną Izą błogosławieństwa,
 » Lub modlitwą o twe losy!
 » Lecz wtedy, mój jedyny, jednéj łaski błagam,
 » Jednéj ofiary od ciebie wymagam,
 » Na którą zasłużyłam; — bądź otwarty!
 » O! bo nieotwartość
 » Zniszczyłaby w mych oczach serca twego wartość;
 » Ale to w oczach tylko, nie w sercu i dumie,
 » « Bo duma zna cię wyższym niżli ludzie inni,

» I moje serce znać cię innego nie umie!
 » Władystawie! to serce ciebie niewinni! »

— « Zoro! w chwilach pożegnania,
 » To zbytek odwagi,
 » Na długą mękę rozstania
 » Dawać te uwagi,
 » Jabym ci ich niedał, nie!
 » To są bolesne zniewagi,
 » To są ciężkie krzywdy mnie;
 » Ta prośba, gdybym cię znał i kochał mniej,
 » To widziałbym tylko w niej
 » Czyste prawne formalności
 » Do zyskania wzajemności. »

— « Przebacz! przebacz mój luby! ja taka szczęśliwa
 » Pewnością twego serca, ta pewność tak miła!
 » A ta prośba, to była myśl tylko troskliwa,
 » Co czuwając nad tobą, przyszłość wyprzedziła;
 » Więc ty będziesz mię kochał? Powiedz, mój jedyny! »

— « Zoro! wiecznie, równo z krajem! »

— « I przebaczasz moje winy? »

— « Zoro! a ty mi moje przebaczasz nawzajem? »

— « Mój luby! w mojem sercu najmniejszego cienia
 » Ani gniewu niebyło, ani zażalenia,
 » Jakiegoż chcesz przebaczenia? »

— « Ja niechęć od tej pory:
 » Tylko serca, serca Zory!
 » Ale Zoro, chwile płyną,
 » Trzeba jechać, później, wcześniej,
 » Po godzinie, przed godziną,
 » Rozstawać się najboleśniej.
 » Gdyby wola, nie konieczność
 » Ciężka, lecz święta, bo kraj,
 » Przy twój stopie, tubym wieczność
 » Przeżył jedną tylko chwilką,
 » Jednym tchnieniem szczęścia tylko!
 » Otrzyj, Zoro, lezkę z oka,

» Ta konieczność jak opoka
 » Niezmiękczy się, kamienna. Bądź zdrowa i trwaj! »

I wziął za kochaną rączkę
 I pierścionek zdjął,
 Z swojej ręki dal obrączkę,
 A w zamian jęj, wziął
 Drogi obraz lic jęj, od nięj
 Wziął, a swój dal jęj.
 I westchnęła pierś swobodnięj,
 Jakby cierpiał mnięj.
 Dziwne serce ! jak dziecięciu
 Tak jemu się chciało :
 I całym na pamiątkę zostać w jęj objęciu,
 I ją zabrać całą.
 Z pamiątkami wiara nowa,
 I w pierś ulgi wpłynął zdrój,
 — « Zoro moja ! bywaj zdrowa ! »
 — « Bądź zdrow, luby mój ! »

Dzielny konik pod ostrogą
 Zwinął się i spał,
 I na oboz prostą drogą
 Jak wiatr lekki mknął,
 I on znikł. Ale darmo, od miejsca, gdzie ją zęgnął,
 Strzałą leciał koń szybki, jak ognista strzałą
 Boleść duszę rozdzierała,
 I lza jęj niemnięj czysta, i koń nieodegnał!...
 Ileż on nocy bezsennie
 I dni w smutku będzie trawił!
 Ona go kocha wiecznie, stale, nieodmiennie.
 Ach ! i we łzach ją zostawił!
 Zniknął — a ona jeszcze na spójrzeniu cała
 Wbiła oczy w tę stronę, i jak posąg stała,
 Tak leniwy dzień płynął — zeszła noc, i rano
 Zastało ją klęzącą, jeszcze zapłakaną
 Łezkami pożegnania, u stóp Matki Boskięj;
 Zwierzała jęj obecne cierpienia i troski,
 I prosiła na przyszłość wsparcia i opieki,
 Nad jedynym swym skarbem, co od nięj daleki,

ROZMAITOŚCI.

*Niemasz, niemasz moja lubo, jak żołnierskie życie!
Lepszy Ułan na koniku, niżli Pan w karcie.*

PIEŚŃ OBOZOWA

Jak żyć miło na tej ziemi,
Którą kochać jest potrzebą!
A bronić ją piersi swemi,
I ledz w obronie jej bytu;
Ani ziemia, ani niebo,
Niema równego zaszczytu!
Taka ziemia polska jest,
Którą polskie serca czczą;
A jej miłość, to jest chrzest,
Którym, w chwili urodzenia,
Polskie matki, dla zbawienia
Swoich synów piersi chrzczą.
I zaprawdę, żadna pierś bez takiego chrztu
Nieznajdzie w niebie zbawienia,
Ni ziemskiego szczęścia tu!
Kraj zawołał! Polskie syny
Pod Orłami już tam są!
Polskie matki! z waszój winy
Opuszczona starość wasza;
Ich żadna śmierć niezastrasza,
I żadna łza niezatrzyma;
Bo świętości nad kraj niema!
Tę myśl, od was, z mlekiem ssą.
Polskie siostry i kochanki!
Wy lejecie gorzkie łzy;
A któż w obozowe szranki
Lubych waszych pognał? Wy!
Z waszych ócz, jak z jasnej stali,
Serca wasze wyczytali;
Im podały dłonie wasze
Chorągiewki i pałasze!

O! piersi, co tak natchniona,
 Żadna siła niepokona!
 Zwyciężą, czy legną, lwy!
 Ty! coś wzrastał jak roślina
 Pod szklami twego ukrycia,
 Chodź! i w polskim obozie obacz Polski syna,
 I naucz się ceny życia!
 Obacz jego pierś stalową,
 I zginąć i żyć gotową;
 Grób pod nogą, miecz nad głową;
 A on wędnie, syn użycia
 W ręce z pełną czarą życia,
 Wesół, nuci pieśń godową!
 Polski żołnierz w obozie! o! to wielkie słowo!
 Jemu życie jest hulanką,
 Gra djabelka; czas bank trzyma,
 W banku radość, a więc: banko!
 Jasna korzyść przed oczyma:
 Do zyskania, cały świat,
 Do stracenia, żadnych strat!
 Bankier życia jest świat drugi,
 Jest drugi Bóg w miniaturze;
 Natura mu na usługi,
 I wszystko, co jest w naturze,
 Kwiatki szczęścia, to nie woda,
 Lub powietrze, co jest wszędzie;
 A żyć darmo, czasu szkoda,
 I wstyd konać będzie.
 Jemu w maju czy w październiku,
 Jeżeli dobrze, to już dobrze;
 A jeżeli źle, zawsze dobrze!
 Bo on idzie na los wszelki
 Równą piersią, zawsze wielki!

OBÓZ UŁAŃSKI POD WARSZAWĄ.

DUMA.

Niemam swego nic na świecie,
 Wszystko cudze, co gdzie mam;
 A jeśli mnie kulka zmiecie,
 Płakać będą po mnie tam.

Stary ojciec dal mi zbroję
 Mówiąc: synu, wola kraj!
 Idź! to życie już nie twoje,
 Ojczyźnie je twojej daj!
 Masz konika, niech cię wiezie,
 Rzekła matka, idź na bój,
 Gdzie o kraj wrą krwawe rzezie,
 Dowiedz, synu: żeś syn mój!
 Piękne siostry, bracia mali
 Odwodząc mię aż za wieś,
 Po westchnieniu, po łzie dali,
 Mówiąc: «bracie, zginiesz gdzieś!»
 Pożegnałem ojca, matkę,
 Jak dwie róże siostry dwie,
 Małych braci, drogą chatkę,
 Co dziecięciami znała mnie.
 Lekki wietrzyk oko owiał,
 Iza w niém była — rzekłem: trwaj!
 Lecz gdy Zory Iza perłowa
 Zabłysnęła w oku jój,
 O! niż wyrzec: bywaj zdrowa!
 Stokroć skonać było lżej.
 Chorągiewkę i obrączkę
 I obrazek dała swój,
 Dała serce — ach! a rączkę
 Da, aż jak się skończy bój!
 Wszystko co mam, to niemoje
 Życie, serce i myśl ta,
 Ach! kiedyż się skończą boje?
 A Bóg Zorę ujrzeć da?...

On nucił zadumany, a bracia ulani
 Wtórzyli mu zadumani;
 Był czas porozumienia; o tój samej porze
 Każdy dumał o swojej, kiedy on o Zorze.
 I serca rozbudzone mimowolnym wtórem,
 Nucily tęskną dumkę pod pustym mundurem.
 Umilkli, zatopieni w myślach i tęsknocie,
 I dziwno! cisza trwała w ulańskim namiocie,

Aż jakby mu wstyd było tój chwilowej ciszy,
Wstał Hubert kaznodzieja i Nestor pułkowy,
Wziął butelkę i kielich, i do towarzyszy
Rzekł takimi słowy :

HUBERT.

Cóż u licha ! jakby mnichy,
Jakby nie ulany,
Siedzicie jak śmiertelne grzéchy,
Każden zadumany ?
Ulan — bankier, dzięki Bogu,
I z natury i z nałogu.
Daléj, bracia ! za kielichy,
Niech żyją ulany !
A Władysław ! co tak cichy ?
Wiecznie zakochany !
W twoje rece !

WŁADYSŁAW.

Dzięki, bracia !
Ja dziś nie towarzyszę ;
Wy pijecie, wy hulacie,
A ja

HUBERT.

A ty marzysz !
Rozumiem, zakochany ! cała tajemnica,
Lniane włoski, wzrok niebieski
I bladawe lica,
A broń Boże dwie, trzy lezki,
To z nieba dziewica !!!
Ona piękna, ona miła,
Ona lezkę uroniła.
Ach ! ja nieszczęśliwy !
Tak wszyscy zakochani ;
Takie, lub podobne dziwy,
Każdy plecie o swéj Pani.

ZDZISŁAW.

O ! słusznie powiedziano w jakimś rozdziale
Co to tam w Piśmie świętém, o święconym kwasie,

Że wszystko może skwasić, choć go i niewiele;
 To do zakochanych zastosować da się,
 Bo jeden zakochany wśród tysiąca ludzi
 Wszystkich skwasi, zawzdycha — i nareszcie znudzi,

WŁADYSŁAW.

Ach! ty, bracie, jój nieznasz — anioł nie dziewica;
 Jój serce.....

HUBERT.

Tak dalece, aż o sercu mowa!
 Ja myślałem, tylko lica,
 A to mała jest różnica!
 Więc już ani słowa!
 Jednak słuchaj, mój kolego,
 Czy ona nabożna?

WŁADYSŁAW.

Ale cóż ci tam do tego?

HUBERT.

Wszak zapytać można!
 Czy chciała przysiąc koniecznie?
 Czy wierzy na słowo?
 Czyś ją przysięgi kochać wiecznie,
 Czy tak — tymczasowo?
 Bo to także jest różnica
 Tych dwóch przysięg: póty szczerze,
 Póki tylko na kwaterze.
 A wzywam cienie przodków i światło księżycy,
 O! ja także pamiętam, koło Hrubieszowa,
 Prześliczne dziecko, ach nie, to w Warszawie,
 Blondyneczka, i nie ta; cóż też to za głowa!
 Ale bo to już dawno, trzy miesiące prawie,
 Miałem tu gdzieś jój włosy, a, kiedy z pod Demba
 Przyszliśmy do Warszawy, przypominam sobie,
 Tak to właśnie naówczas widziałem je obie,
 I zabrałem pamiątki. Héj! słuchaj, Zaremba!
 Dajno tu nasze włosy!

ZAREMBA.

Panie poruczniku!
 A które? Bo to tego u nas tam bez liku.

HUBERT.

Od żon, zresztą jak chcesz, wszystkie pamiątkowe,
I wszystkie pokrywały lubą jakąś głowę.
Słuchaj więc, otóż Zosia, właśnie koło Stoczka,
Kiedyśmy tam bywali, skromna jak fioletek,
A dobre to jak aniołek;
Pokochałem ją strasznie,

WŁADYSŁAW.

Widać !....

HUBERT.

Słuchaj bracie!
Bo to ja nie tak kocham jak to wy kochacie;
Ja to sobie po ludzku.

WŁADYSŁAW.

Pewnie !.....

HUBERT.

Niezawodnie!
Słuchaj więc : Zora chciała odemnie przysięgi,
Abym wiecznie ją kochał.

WŁADYSŁAW.

A tyś na tygodnie,
Czy na dnie to chciał robić. Tęgiś, bracie! tęgi!

HUBERT.

Zaczęła mi wypłacać o cnocie i statku,
O moralnej nauce, o domowym szczęściu:
Niegraj, niepij, niehulaj; aż szust na ostatku:
Mnie tylko jedną kochaj i kończ na zamęzciu.
O! pomyślałem sobie, tyś taka jak druga,
Up adam do nóg pani, i najniższy sługa!

WŁADYSŁAW.

Cóż, przysięgłeś?

HUBERT.

A jużci !.... na piękność jej lica
I na światło księżycy.

WŁADYSŁAW.

A cóż teraz?

HUBERT.

Nic!

Wojna! Któż mnie od śmierci w wojnie zabezpieczy?
 Napiszę jej żem zginął, i skończone rzeczy!
 A twoja, czy blondynka,
 Podlasianka, Ukrainka?
 Czy jak dziecko pusta, żywa,
 Czy poważna z natury, i jak Julia tkliwa?
 Zresztą nasze siostry Polki
 Wszystko dobre, jak baranki,
 Hoże jak młode topolki,
 A Litwinki, Podolanki,
 Od Poznania, czy Mazurki;
 Wszystkie, jak jabłuszka złote,
 Wszystkie jednej ziemi córki;
 Najlepiej nieznać różnic między Podolanką,
 Rusinką a Mazurką albo Galicyanką,
 Która piękna — banko o tę!
 Wszystkie piękne — wszystkie banko!
 Słuchaj, bracie! dzisiaj pijem,
 Wojna życie, dzisiaj bijem,
 Furażerka na bakier, wąż w górę, pałasze
 Brzęczą przy bokach, koń dzielny,
 W sercu dziéwce i Polska; wara dmuchnąć w kaszę!
 Dzisiaj człowiek nieśmiertelny!
 Co użyte to, to nasze;
 Dzisiaj bracia żyjem,
 A tu może z lada chwilką
 Krzykną: « na koń! » droga szklanko!
 Droga Polsko i kochanko!
 Bądźcie zdrowe! bądźcie zdrowe!
 Granat huknie wielkie banko;
 I ujrzysz gdzieś tylko głowę,
 Lub bez głowy — siebie tylko.

WŁADYSŁAW.

O! to u naszego brata
 Zdarza się i bez granata.

HUBERT.

Słuchaj więc! nim to nastąpi,
 Niech przepadną wszyscy skąpi!

Pijmy za tych co niepiją;
 Żyjmy za tych co nieżyją,
 Czara za tych, czara za tych,
 I za wieczny odpoczynek
 Tych, co w Bogu spoczęli za braci żonatych;
 Czara dla siostr Ukrainek,
 Zadniestrzanek i Litwinek!
 W twoje ręce, szklanka z szklanką!
 Zdrowie twojej luběj.

WŁADYSŁAW.

Banko!

HUBERT.

O! niechże cię uściskam! Chłopiec w ręku z szklanką!
 Czapka na prawém uchu, a na ustach: banko!
 To ma swoje znaczenie, to raduje mnie!
 A przed chwilą zadumany jakby jaki mnich,
 Siedział w kącie ponury jak śmiertelny grzech.
 Wierz mi: patrzeć było śmiech;
 Teraz wracam ci godność. — Chłopiec, co się zwie!
 Lecz gdybyś ty jak bankier, nie jak parafijanin,
 Zbył się tych jednostajnych i ciągłych wzdychanin?
 Gdybyś ty mógł kochać dwie?

WŁADYSŁAW.

Nie, bracie! niewymagaj. — Ja z wami, ja wasz!
 Jak mnie chcesz, tak mnie masz.
 Z wami śmiać się, z wami pić,
 Z wami hulać, z wami bić,
 Do sądneho dnia.
 Wszystko jak wy, lecz kochać, to tylko jak ja!
 Jedną, i bez zmiany!

STANISŁAW.

Oczywiście zakochany!

ZDZISŁAW.

O cóż rzecz? ty się kochaj; — lecz jak w każdym kraju
 Taki u nas jest zwyczaj — niepsuj nam zwyczaju.
 Bo człowiek zakochany, — od luběj daleki
 Jest młodzieńcem co jeszcze niewyszedł z opieki.
 Skarby widzi przed oczyma,
 Ma świat cały — a nic niema.

Ztąd też słusność, to szczęście, mówił Paweł święty,
 Jest martwym kapitałem co traci procenty;
 Zresztą kto ci zaręczył, że z twoją kochanką
 Obaczysz się za życia?

WITOLD.

No! słuchaj kolego!
 Jeśli ona poszła banko
 O kogo innego?
 Jeśli cię zapomniała, — to co w takim razie?
 Przyjm radę — i zapomnij!

HUBERT.

Przyjm ją i odemnie!

WŁADYSŁAW.

Prędzejbym skonał na własnym żelazie,
 Niżbym ją zdradził niekzemnie.
 Wy nieznacie serca Zory!

STANISŁAW.

Oczywiście zakochany, i kocha wzajemnie!

HUBERT.

Nie, bracie! on chory!

ZDZISŁAW.

Zora! jakże piękne imię!
 Jakby dobrze brzmiało w rymie,
 Musi być Ukrainka; ładne imię: Zora;
 Ładniejsze niż Aurora, Pomona i Flora.
 Lecz jak żyję, do tej pory,
 Nie kochałem żadnej Zory.
 Kochałem kilka Hortensyj,
 Adelaid i Emilij,
 Róż, Akacyj i Pretensyj.
 Same kwiaty — lecz Zora, jutrzeńki imię,
 Tak miło odbija w rymie,
 A w sercu, Władysławie! pewnie jeszcze miliej;
 Dla samego imienia, ję zdrowie wypiję.
 A ładna?

WŁADYSŁAW.

Gdyby anioł!

ZDZISŁAW.

O! to niechaj żyje!
 Kto mnie kocha, ten wypije,
 Bracia! niechaj Zora żyje!

WSZYSCY.

Banko! niechaj Zora żyje!

HUBERT.

A co — będziesz kochał dwie?
 Posłuchaj! które serce niekocha nikogo,
 To jest serce twarde, lwie;
 A im które serca więcej kochać mogą,
 Tém się każde czulszém zwie.
 Widzisz tedy oczywiście
 Najjawniejsze ztąd korzyście,
 Kiedy kochasz dwie,
 Ale z resztą Bóg to wie,
 Może ty już kochasz dwie!

WŁADYSŁAW.

Ja? — nie!...

HUBERT.

Taisz się jeszcze? — więc po tajemnicy,
 A owoż to bóstwo, piękny anioł zdrowia,
 Co czuwał tam na brzegach Dniestru czy Bystrzycy,
 Nad raną boremelską u twego wezglowia?

WŁADYSŁAW.

O tak! — jam jój winien życie!

HUBERT.

A kto przeczy? czy słyszycie?
 Że on Laurze winien życie?
 Słuszna więc, panowie,
 Wypić pięknej Laury zdrowie.
 Niech przypadnie przeniewierca!
 Co wdzięcznego niema serca.
 Kto mnie kocha, ten wypije:
 Bracia! niechaj Laura żyje!

WSZYSCY.

Banko! niechaj Laura żyje!!!

HUBERT.

Sluchaj ! tę znać dobrodziejką
 A tamtą kochanką ;
 Wiele słów — a tak lepiej za jedną kolejką,
 Niechaj żyją obiedwie !

WSZYSCY.

Dobrze mówisz — banko !
 To się po ułańsku zwie :
 Zora, Laura ! banko dwie !

Tak wesoło w rękę z szklanką,
 Noc pędziła młodzież pusta ;
 I niejednym głośnem banko,
 Grzmiały rade pierś i usta.
 Aż jak piorun z rykiem grzmotu,
 Wleciał granat do namiotu.
 Wróg niewinnych rozrywek i miłej igraszki,
 Pękł — rozbil sześć butelek, i zsadził trzy czaszki.
 Młody Hubert, w rękę z szklanką,
 Nieuśpiał już domówić zaczętego : banko !
 On wznosił świętej Polski zdrowie ;
 Ledwie « ban » z ust mu wyszło, a czaszki na głowie
 Już niebyło. Aż chyba na sądzie ostatnim
 Stanie znowu w kole bratniém,
 I te wielkie : « ko » dopowie.
 Ślad przepadł — czy miał kiedy głowę albo uszy ;
 I życie uleciało jak szampan z butelki,
 A bracia rzekli : « Panie ! świeć tam jego duszy !
 « Bankier to był wielki ! »

O ! w obozie kończyć życie
 Pijąc : niechaj żyje kraj !
 Jest to kończyć należyście ;
 Ach tak Boże ! i nam daj !

POLSKA W BANKU.

Poczciwi nasi przodkowie
 Dobre mieli serce ;
 Przegrali Matkę Polskę, daj im Boże zdrowie,
 Na cząstkowej poniterce !
 I największą część przegrali
 W faraona do Moskali.
 W potomkach duch przodków ożył ;
 Chcieli grać w djabelka ;
 Pan Mikołaj bank założył,
 A w banku perelka.
 Polska w banku była droga,
 A bank to nielada !
 A spółnik gry w poczciwym przedstawiał się Franku,
 Co tak pięknie gada :
 « Odegramy cię, kochanko !
 » Polska — lub zagłada ! »
 I zagrzmiąło wielkie banko
 Nocy Listopada.
 Tego banko, wielką chwałą,
 Grzmiąły ziemia i niebiosy ;
 A za nami nic niestało,
 Oprócz naszych serc — i kosy.
 Niebył bankier ów Konstanty !
 Chciał z Chłopickim razem,
 Po partacku — grać na fanty,
 Układami nie żelazem.
 Czuł wyraźnie przegraną, prosił o akordy ;
 A dyktator akordować radził ;
 Uradzono, zrobiono — i Konstanty hordy
 Ściągnął z banku, i całe za Bug uprowadził.
 Chłopicki wziął taliję — i chociaż oddawna
 Dobrze znał naturę kart,
 Lecz dłoń do faraona tylko była wprawna,
 W djabelka, on djabła wart.
 W owym wielkim djabelku nocy Listopada
 Gdzie jedno wygrywało : « byt albo zagłada, »
 Drżącą dłonią sam niewiedział,
 Czy ma ciągnąć bank czy nie ?
 Założywszy ręce, siedział,
 I marnował drogie dnie,

Gdyby wtenczas, z mieczem w dłoni,
 Z po nad Bugu : banko ! krzyknął !
 O byłby wielki sztandar Orła i Pogoni,
 Na starych wiał granicach, gdzie wiać się nawykwał.

On radził się kabalki ; a tu wołał klub :
 Nietak trzeba zbawiać kraj,
 Dyktatorze, nietak rób !
 Ty akordy radzisz z wrogiem,
 Idźże sobie z Panem Bogiem !
 A taliję tutaj daj ! —
 Wzięli taliję sejmowi
 I dali Radziwillowi,
 Jak bez niego, tak i z nim.
 Aż Radziwiłł
 Sam się zdziwił,
 Zkąd ta grzeczność przyszła im ?
 Wtém dwakroć sto tysięcy poniterów stało ;
 A na czele graf Dybicz z zabalkańską chwałą ;
 Banko ! krzyknął graf z Balkanu !
 « Dotrzymamy pewnie panu ! »
 Banko ! króćcie dział zagrzmiały,
 Banko ! rzekła zgraja ;
 Aż w Warszawie okna drżały,
 drżało w Petersburgu serce Mikołaja !
 Trzy dni trwała rzeź i mordy ;
 Wtém szczególny traf :
 Pierwszy poszedł na akordy
 Zabalkański graf ;
 Zabrał swoje bohaterę,
 I sam ruszył na kwatery.
 Polskie lance i bagnety
 Taką ich uroczystą powitały pliją,
 Że aż się pogarbiły zabalkańskie grzbiety,
 I bohater wykrzyknął : « o ! tegoż tu biją ! »
 Pan Skrzynecki, Jan z imienia,
 • Był to sobie Jan ;
 Wziął taliję od niechcenia,
 I miał taki plan :
 Chciał, niechodząc po Balkanie,
 Urwać sobie na miejscu bałkańskiego lauru.
 « Banko ! » krzyknął niespodzianie,
 Zagrzmiał napad Wawru,
 I z zimowych ciepłych kwater

Umykał co tchu bohater,
 Tam gdzieś na Iganie,
 Jak kto mógł i zdołał,
 Pod Dębe, do Domanic.
 « Naprzód, wiara! » pan Jan wolał;
 » Na bagnety! — proch z panewki!
 » Naprzód! naprzód chorągiewki! »
 I strzepali na nic! —
 Prawda nie grzech, panie Janie,
 Udały się nam Iganie!
 I pewno się tam w niebie ucieszyła dusza,
 Nieboszczyka bankiera, pana Tadeusza.
 Ale pan Jan zapomniał, że taliję trzymał;
 Urwał laurów bałkańskich, i na nich zadrzymał.
 Pan Jan był wielki bankier, są na to dowody;
 Lecz wzorem Herkulesa, po trudach zwycięstwa,
 Do stóp pani Janowej poszedł po nagrody;
 Bo piękność, jak świat światem, jest nagrodą mężstwa.

I ukląkszy przy jój stopie,
 Rzekł: « O! najdroższa kochanko!
 Już w Polsce i w Europie
 Głośnie moje wielkie banko.
 Zabalkkańskich laurów snopy,
 Składam u twój drogiój stopy,
 Ty je listkiem mirtu zamień,
 Takich laurów ze trzy kopy
 Bylbym przyniósł do twój stopy;
 Lecz do ciebie, moja chwało!
 Źródło najdroższych omamień,
 Do ciebie mnie serce gnało!
 A serce, ty wiesz, nie kamień,
 O! za żadną w świecie chwałę,
 Już z Warszawy do Moskali,
 Od ciebie, me niebo całe!
 Twój się luby nieoddali! »
 I dobra pani Janowa,
 W zachwyceniu cała,
 Nie wyrzekła ani słowa,
 Tylko nań patrzala

Okiem tkliwój miłości, — za całą nagrodę
 Głaszcząc go białą rączką po pod siwą brodę,
 Aż nieprędko, nieprędko rzekła: « O mój luby!
 Dobre niebo spełniło wszystkie moje śluby.

Z krwawych bojów wracasz cały,
 Otoczony blaskiem chwaly;
 Lecz, ileż ta twoja chwala,
 Gorzkich łez mnie kosztowała!
 Nieoddalaj się odemnie;
 Zaniechaj tych banków już.
 Mnie tak z tobą żyć przyjemnie,
 Tutaj, tutaj, na mém łonie,
 Uwieńczone twoje skronie,
 Po wojennych trudach złóż!
 Słuchaj! gdybyś mógł to skronie
 Złożyć na twój lubój łonie,
 W dawnój Jagiellów koronie!
 Wtenczas ja — twoja Janowa
 Byłabym polska królowa.

Zostań tutaj, w Warszawie. Książę Czartoryski,
 Mówią: tronu bardzo bliski;
 Wtenczas, księżna Adamowa
 Byłaby polska królowa.

O! téj myśli niezniósę — jeśliś tobie miła,
 Zrób to, drogi mój Janie, bym królową była.

Nieuwierzysz jak twój żouie
 Do twarzy będącie w koronie?»

Tak, pod mirtem w Warszawie, na miłości łonie,
 Drzymał stary Walenrod przy siwój Aldonie,
 Wielbiąc sercem rycerskiém poważne jój wdzięki.
 A tym czasem do kola zbliżały się burze,
 Aż zagrzmiąło w czarnej chmurze,

Banko Ostrołęki!

Po którem do Warszawy, do najdroższych stopek
 Przyniósł pan Jan wawrzynów tylko mały snopek.

I pewno się tam w niebie zasmuciła dusza
 Nieboszczyka bankiera pana Tadeusza!

Już było wyświęcono: tu piątka — tam as;
 Pan Jan siedział spokojnie, a klub do kabalki,
 Sejm pocziwy wypłatał koszalki opalki:

Miał potemu czas.

Jak zaczęli radzić, doradzać, odradzać,
 W kontramarszach się przechadzać,
 W taki wpadli las,
 Że na wicki zapomnieli,
 Że już całkiem niewiedzieli:

Co wprzód wygrywało: czy — piątka czy as?

Pana Jana na sejmie
 Pożegnano uprzejmie ;
 Chodź tu panie Henryku !
 Potrzebni nam wodze,
 I nabrali bez liku
 Pierwszych lepszych po drodze.
 Kraj chciał piątkę, asa klub ;
 Poszedł as zdradziecki,
 I wykopał dla nas grób :
 Był to Krukowiecki !
 Zle było grać na polu — zaprosił do miasta ;
 W tym dniu zgrozy i nieslawy
 Wszedł Mikołaj do Warszawy
 I powiedział : « basta ! »

A my, wierni samym sobie,
 W krwawej rzezi, w krwawym mordzie,
 Woleliśmy poledz w grobie,
 Lub pójść na świat szeroki w dniach smutku i zgrozy,
 Polską piersią zaludniać europejskie kozy,
 Niż się spodlić na akordzie !
 Lecz tulacze, niedobitki,
 Dziś bez kraju i bez stali,
 Zgrani do ostatniej nitki,
 Cóżemy przegrali ?
 W męskiej piersi serce bije,
 W męskiej piersi Polska żyje ;
 Przyjdzie jedna talija — i wszystko odbije !
 Każdy z nas, dzięki Bogu,
 Wielki bankier — mało który
 Patrzy na dół — bo z natury
 Przywykł patrzeć już do góry.
 I dziś spójrzj w około : kogo w więzach wloką
 Na Sybir lub do kozy, jak szeroki świat,
 A on wznosi dumne oko,
 Z pogardą z za krat ;
 I oddech jego piersi i jego spójrzenia
 Śmielsze i pogodniejsze niż tchnienie Europy,
 Co cała siedzi w kozie własnego spodlenia,
 Przytłoczona ciężarem tamerlańskiej stopy ;
 A on wielki, i z za krat
 Idzie banko, choć o świat —
 Na me słowo wierz ślepo : to pewno nasz brat !

BANKIER W KOZIE.

Oko więźnia z po za kraty
 Widzi świat swojej myśli w całunie utraty;
 Blask nadziei bezsilny, w mgłę tęsknot rozegnać,
 Co jego niebo osłania,
 Więzień umie tylko żegnać;
 Bo za kratą nieznanym oddech powitania.
 Więzień dumał samotny z nieoschlą powieką,
 Ale już nieplaczącą, i z piersią przycichłą,
 Jego myśl za więzienie, za Dniestr gdzieś daleko
 Poleciała stęskniona, i wróci nierychło.
 A Dniestr płynął pod okiem w skalistém korycie;
 Samotny, niezbadany, tak jak jego życie,
 U stóp zielonej skały; — ta piekielna skała
 Ani go odganiała, ani wstrzymywała,
 Piękną skroń obojętną wynosiła górą,
 Patrząc w błękit nieba, czy na gwiazdkę którą,
 A co u stóp czekało swego przeznaczenia,
 Niezwróciło uwagi, ani jój spójżenia.
 Była piękna, zielona — lecz była z kamienia.
 Wiatr zaszumiął z za Dniestru; — a więźnia spójżenia
 I myśli się ocknęły — znowu wśród więzienia,
 Które były rzuciły.
 O! w tych wiatrów szumie
 Jest jakaś tajna siła, co wtórzy méj dnmie,
 Jak serce je przeczuwa i dusza rozumie,
 I ucho usłyszało w fal dniestrowych drzeniu,
 Odgłos jakiś podobny cichemu westchnieniu;
 I odbita od fali kropelka zadrżała,
 Lekka, jasna, samotna — jakby lezka mała.
 Miałożby to westchnienie z krainy utraty,
 Z za Dniestru od jój serca dójść do mojej kraty?
 Miałażby w jój oku Iza
 Drzeć tam jak kropelka ta?
 O! Iza straszna w oku jój!
 Wszystko zniósłbym prócz lzy téj!
 Jój uśmiech jest trucizna słodka i powolna,
 Trawi, niszczy tak jak rdza;
 I śmierć od niój miła; ach! bo dobrowolna,
 Lecz nietakąby śmiercią zabiła jej Iza.

Złą Izą, przy jój stopie, upadłbym tak trup?

A wtedy, zbrodnic i cnoto!

Ja twój, lub twój, mniejsza o to!

I Bóg mnie nieoderwie od tych drogiej stóp.

Tój Izy niechcę widzieć, nie!

Uśmiechy mnie zabić mogą,

A Iza, prócz mnie, jeszcze kogo,

I zbrodniarzem zrobić mnie,

Lecz widzieć ją, czuć jój tchnienia,

Bez nadziei i bojaźni,

Nieznac innego nieba, tylko jój spójrzienia,

Kochać ją śmiałem bez skromnej przyjaźni!

Tak, tak, przyjaźni tylko! to słodki stan bytu.

Jak upływa oblok mglisty

Obok gwiazdki promienistej,

Tam po jasnym tle błękitu,

Takim bytem chciałbym żyć,

Gdyby mógł byt taki być,

« Mile dziecko!.... »

I westchnął, spójrział na obrazek,

Na nim nie ta twarz była, i zadrzał bez chęci.

« O przeklęty wynalazek!

» Pędzla i pamięci! »

Poco mi wspominać? Ja tak dobrze pomnę

Drogie rysy twoje, Zoro!

Te rysy mojej myśli i sercu przytonne,

Twoje spójrzienia dotąd na licach mi gorą;

A w obrazku tym nieżywe

Ni twój uśmiech, ni twe lice;

Lecz pocóż oko twoje takie podejrzliwe?

Patrzy z niego w mojego serca tajemnicę?

Nieobaczysz, Zoro, tam

Nic, czego bym nierzekł sam.

Prawda, jest tam lice inne

Obok ciebie, lecz niewinne;

Lice dziecięcica, dziecinne,

I piękne lice jak twoje,

Lecz niezazdrość, ni się bój!

To tkliwa święta przyjaźń, ja sam się nieboję!

Zoro! wszak masz słowo moje!

Zoro! wszak ja twó!

Lecz, Zoro! twój wzrok pogodny
 Zasepia się tak surowo;
 Czyżem wiary twój niegodny?
 Zoro! a me słowo? !...
 Jeśli tak, to za niewiarę,
 W moje słowo i uczucie,
 Przeznaczę ci taką karę:
 « Zora będzie na pokucie;
 Wzrok zakryję kwiatkiem toji,
 I w kąciuku schowam gdzie;
 A jak się Zora trochę uspokoi,
 To ktoś przyjdzie, kwiatek zdejmie,
 I powita cię uprzejmie,
 I ktoś pocałuje cię.
 Ach! tylko na obrazku, w tę kochaną rączkę. »
 Spójrzal na obrazek, spójrzal na obrączkę,
 I uśmieł się, spójrzal znowu,
 I znowu się uśmiechnął,
 « Nie, ja nie żartuję!
 Niedasaj się, bądź grzeczna, ufaj memu słowu,
 To cię pocałuję!
 I dam patrzeć na siebie; « a tak, do więzienia. »
 I zakrył kwiatkiem toji ciekawe wejrzenia.
 Co mu w serce patrzyły z martwego obrazku,
 Bez zamiaru i bez chęci,
 I powtórzył raz jeszcze:
 « Nudny wynalazku!
 Pędzła i pamięci!
 Poco mi przypominać, ja tak dobrze pomnę
 Bez obrazku do téj pory,
 Kochane lice Laury równie mi przytomne,
 Jak z obrazkiem lice Zory.
 I na tę i na tę patrzę;
 Widzę, choć ich tutaj niéma,
 Widzę je duszy oczyma;
 I śmierć tych rysów niezatrze! »
 I ocknął się, spójrzal na więzienia ściany:
 Gdyby tu kto ujrzał mnie,
 Mógłby rzec: żem szalony — albo zakochany,
 I co większa — Kocham dwie!
 Laura, Zora, mile dzieci,
 Dzieci obie, a ja trzeci!
 Ja niekocham obu ich;

Bo dwie kochać, mówią, grzech,
Lecz ja Kocham każdą z nich!

Grzech? Jaki grzech? Rzecz zabawna!

Ukraińska dumka nasza,
Matka pieśni starodawna,
Taką rzecz ogłasza:

« Jedna hora wysokaja,

» A druhaja nyska.

» Jedna myła dalekaja,

» A druhaja błyska;

» A ja toju dalekoju

» Ludiam podaruju,

» A do toi blyzenkoi

» Da sam powendruju;

» A u toi dalekoi

» Woły, da korowy,

» A u toi blyzenkoi

» Da czernoi browi! »

Czy ta dumka ze mnie drwi?

Czy jój może mówił kto?

Że moja Laura blisko, i ma czarne brwi?

Zkąd ona wie to?

Dumka stara jako świat,

A Laura ma za ledwie siedemnaście lat!

Otóż to mi pieśń nad pieśni,

Pieśń wielka co się zwie!

Ta mądrość człowiekowi czasem się i nieśni,

A dumka o wszystkiem wie!

Niechaj żyje pieśń rodzinna,

Ukraińska dumka gminna!

A taż: « Gdyby orlem być,

» Lub sokole skrzydło mieć,

» Skrzydłem orlém lub sokolém,

» Unosić się nad Podolem,

» Tamtém życiem żyć!... »

Tak, do Zory, na Podole!

Nie... tą razą za Dniestr wolę.

Gdyby czółno, gdyby wiosło,

Dniestrze, pod bieg wody twój,

Serceby mnie tam poniosło

Do drogich stóp Laury mój!

Tam gdzie dzisiaj z każdą chwilą

Po zwierciadel twoich tle,

Piers samotna, dumkę tylko,
 I westchnienie błędne śle.
 Gdyby czółno! nie pieśń!... sam,
 O! już dawno byłbym tam!
 Stój szaleńcze! Dniestru wody,
 Góry, lasy, nie przegrody!
 Bez wiosła byś przebrnął świat;
 Lecz ty więzień, bez swobody,
 Jakże wyjdiesz z za tych krat?
 Okruszynka od rozbicia
 Wielkiej arki, lekkie żdźbło;
 Ty niewolnik, ponura gwiazda twego życia,
 Zasepiona, niewoli opasana mgłą,
 Nierzuci światła ulgi na duszy twój tło.
 Twoje niebo zamknięte; i dni twoich kwiat
 Zniweczeje wśród twych krat.
 Cztery ściany więzienia, co zmierzysz na piędzie,
 Te są twojej wielkości i celów krawędzie;
 To twój kraj, to twój świat,
 I twój grób tu będzie!
 Ty Polak! na twém czole w chwili urodzenia,
 Na wieczną zakalę niebu,
 Wytłoczono już krwawę piętno potępienia;
 Byś mógł, jak świat szeroki, lać krew za swobodę,
 Potém tulacz gnić w więzach za całą nagrodę,
 I zawadzać pod stopą ciałem bez pogrzebu.
 Twoje wszystko upadło, pocóż to «niestety!»
 Te «ach!» te smutki, te żale,
 «Ponabijam pistolety,
 W łeb sobie wypalę;
 Piers boleścią niezajęknie,
 Kulka się wyśliźnie,
 W dziesięcioro czaszka pęknie,
 I mózg o ściel bryznie.
 Laura pewno niezapłacze,
 Zory prędko oschnie łza,
 I wszystko już skończone! zresztą jak zobacze,
 Może jeszcze to wszystko przemienić się da,
 Niezawodnie zmieni się!»
 I spójrzał w okolo
 Czy go kto niepodśluchał pośród czterech ścian;
 I trzykroć bijąc się w czoło
 Rzekł: «A mojaż to głowa tworzyła ten plan?»

Czy niemoja? nieodbitcie
 Czyjaś cudza; odjąć życie?
 Komu? sobie?... A to zkąd?
 Że do kozy wsadził rząd?
 To zaiste byłby błąd.

Wolę ja uśmiech Laury, niż jej łzy na grobie :

Kto chce, niech umiera sobie,
 Wolno, a ja zaręczam że tego nie zrobię.
 Precz niemężka myśli, precz!
 Władysławie, nieodbitcie
 Przyjdzie koniec zgrozie;
 A kto bankier całe życie,
 Ten bankier i w kozie.
 Wyjść z kozy to rzecz!
 A za kozą, wielki Boże!
 Ty wiesz jeszcze co być może,
 Jakie przyjdą dni.
 Więc już niewypałę, nie!
 Bo choć nie od pałaza
 Przyjdzie konać w kozie, tu,
 I ta śmierć mnie niezastrasza,
 Wszak żyłem za stu!!!
 Życiem kraju pierś wzmocniona
 Dotrwa wam jak stalowa,
 Żaden cios jej niepokona.
 Bo i na cóż, bardzo proszę?
 W męskiej piersi serce noszę?
 Odpowiedź gotowa:
 Serce, jest skład na rozkosze,
 A na rozum, głowa.
 Bankier jest wieczny podróżny,
 W te dwa składki wszystko składa;
 A u kogo który próżny,
 Ten nie bankier, temu biada!
 Bankierowi w każdym czasie
 I w każdej potrzebie,
 Niezabraknie na zapasie,
 Ma samego siebie.

Tutaj rozkosz obecna, tam słodkie wspomnienia,
 Tu nadzieja gotowa przedłużyć swe życie,
 Tutaj życia pogarda, tam słodkie marzenia.
 Myśl rzeźwa, a w odwodzie jakiś cel życzenia.

Śmiać się, płakać, a z serca kochać należyćie;
Czuć, używać, być sobą, to bankierskie życie!

Bo cóż, za dwa, za trzy lata
Śmierć, ta poniterka świata,
Zrywać banki nam niesyta,
Przyjdzie z kosą, i zapyta :

« A co w banku ?

» Twoje życie !

» Banko ! ciągnij, mój kochanku ! »

I wzięła bank, jak widzicie.

« Służę pani ! » odpowie każdy bankier wielki,
Spoczną jak po mazurze w chudém jéj objęćiu ;
Czara życia wypita, do dna, do kropelki,

Żyłem prawie za dziesięćiu.

Śmierć się zdziwi i tak rzecze :

« Ach ! pomiarkuj się człowiecze !

» Czy pytasz drogi, czy drwisz ?

» — Jak mnie widzisz, tak mnie pisz !

» Nierozmawiać ! czy ja drwię,

» Nie twoja rzecz pytać mnie.

» Wiesz, ja lubię piękne lica,

» Ale piękne co się zwié !

» Zora, Laura — ich żrenica,

» Cały świat to wié !

» Aniol każda z nich z osobna,

» Oprzeć się im niepodobna,

» Kto raz widział je !

» Serce w piersi niejest glazem,

» Nieprzywiązać go rozkazem,

» Poszło banko dwie ;

» Masz ! — to cała tajemnica —

» Więc się wynoś, lub bierz mnie !

» — Wielki bankier, mój kolego,

» Jeden dobry wart za stu !

» — Banko ! — i wzięła jak swego ;

» Ruszaj tu ! »

Potém popów orszak kruczy

Zgromadzi się pod lepianką,

I ponuro ci zamruczy

Urzędowe wielkie banko !

Wielki bankier leżąc w trumnie,

Po tém bractwie spójrzy dumnie,

I tak powie : « Czego chcecie !
 » Jaż zawadzam wam na świecie ?
 » Zabierajcie moje ciało,
 » Kiedy wam się podobało.
 » Przepędziłem moje życie,
 » Zaręczam was, należycie.
 » I na słońcu i na mrozie,
 » I w salonie i w obozie ;
 » Zawsze bankier z chwałą,
 » A umieram sobie w kozie :
 » Bo tak mi się chciało ! »

Takiem na świat patrzył okiem
 Młody bankier ów, z więzienia.
 Wtém świat, co wpół jeszcze różanym obłokiem
 Owiany, tiał w półblasku młodego marzenia,
 On był nieoziębiony uczeń doświadczenia.
 Jeszcze piersią bez przesytu,
 Czuł i niesmak i smak bytu ;
 On dumal, ta wyroczna zbliżała się chwila,
 Kiedy się walka serca z rozumem przesila ;
 A serce do drogiego przykute uczucia,
 Lub swoim własnym jadem rozpocznie się truć,
 Lub jedném silném tchnieniem może serce spsuć.
 On siebie nierozumiał, jak lekka pierś łodzi,
 Płynął po własnych uczuć nieznanęj powodzi,
 Bez kotwicy i bez wiosła.
 A czy przy tym lub tym brzegu
 Łódź się wstrzyma kiedyś w biegu,
 Niepomyślał szczęśliwy, płynął gdzie go niosła ;
 Tło wody było jasne, lecz jak duo głęboko,
 O tém niepomyślała nigdy myśl szczęśliwa ;
 Bo żeglarza młode oko
 Niebadało głębiny po której upływa.
 Lecz brzeg, który opuścił z dobrowolnej chęci,
 I drugi był daleko do którego płynął,
 A pod nogą głębina, jak otchłań pamięci,
 Po szczęściu które ominął.
 On miał zaród gangreny co mu w piersi tlała ;
 I powoli, nieznacznie duszę okrążała.
 On kochał dwie dziewice piersią jednakową,

Lub tak sądził, przynajmniej tak mu się zdawało;
 Tutaj go wiodło serce, tam wiązało słowo,
 A i jedno i drugie zasnąć niedawało.
 W chwili dumań on patrzył wyteżoném okiem
 W kochane lice Laury, — nagły wzrost patwieci
 Ocknął go Zory widokiem.

On się zmieszał, zapłonił i zadrzał bez chęci,
 Patrzył w oblicze Zory, widział w jój spojrzeniu
 Jakby wyrzut niewiary, co jój twarz zasmucał,
 A Laura, jak cień stała, przy każdym wspomnieniu.
 Odrywał się od obu i obie porzucał.

Nagle zapomniane obie
 Widział je, jak cień przy sobie!

Zakrywał kwiatkiem toji lice na obrazku,
 A z pod kwiatka wzrok patrzył, jak oko upioru,
 Prosto na jego serce, w tkliwych marzeń blasku;
 Nucił dumkę od niechcenia,
 Krzyżowały się wspomnienia.

I Laura była w sercu a na ustach Zora.

On był dobry i niewinny,
 Żył w świecie swoich uczuć i swój wyobraźni,
 Lecz mu mądrość obrazu, jak rada przyjaźni
 Światłej ale obłudnej, świat wskazała inny;
 On z tchnieniem tego świata rychło pierś oswoił,
 I sokiem niewłaściwym młode serce poił;
 A szczęście, czy truciznę, pierś wysię z tych soków?
 Nie dojrzeć za ponurą zasłoną wyroków.

Nad Bohem piękne niebo, ale niełaskawe,
 Słońce tam wstaje smutne i zachodzi krwawe;
 I oddech oziężały niechętnie w pierś plynie,
 Tęskny jak myśl po kraju, jak żal po rodzinie.
 Czemuż dziś tak nad Bohem? i serca i pola
 Zniszczone, zakrwawione? ciemieży niewola?
 Tam z okiem zaplakaném niejedna rodzina,
 Wypatruje powrotu ojca albo syna;
 Co wleczone w kajdanach podłą ręką zbirów,
 Poszedł bez pożegnania na pustki Sybirów!

Tam wśród czterech ścian chaty, dziewczę w północ głuchą
 Drżąc, przykłada do ziemi wytężone ucho ;
 Czy chodu nieposłyszysz z kąd albo westchnienia
 Czyjzego? I zadrżała! O! tego imienia
 I przed sobą niepowie w największém ukryciu.
 To imię jest jój skarbem jedynym w tém życiu.
 On poszedł; może poległ, żadnej o nim wieści
 Prócz dawnego wspomnienia i świeżej boleści.
 Niéma go; a ona drży czy jój niepodslucha
 Słuch jaki szpiegujący, przedajnego ucha.
 I cisnąc w dloni listek, drży czy nieobaczy
 Tój pamiętki, spodloną zrenica siepaczy.
 Lza zadrżała w jój oku i pierś jój zająkla;
 Wpadną niepodziewanie, lżę ujrzą siepacze,
 I z tój lzy rozpoznają po kim ona płacze.
 Gdzie on jest? odpowiadaj! Sybir lub więzienie!
 Wiesz o nim? tak dowodzi ta lza i westchnienie.
 Tam dziecię z łona Matki rwane od siepaczy,
 Jakby już przeczuwało dnie swego męczeństwa,
 Piszczycie głosem bezsłownej klątwy i rozpaczycie,
 A matka łamiąc ręce jak bóstwo, szaleństwa,
 Lata i wyje niebu wielki hymn przekleństwa,
 To kraj lez i ciężkiego niebłogosławieństwa!
 I Bóg słyszy te jęki! I nad Boh ponuro
 Patrzy, zakrywszy oczy niedostępną chmurą;
 Bo mu wstyd i zgyzota spójrzeć niedozwala
 Na ziemię, którą bez win, klęskami przywała,

 O! nad Bohem okropnie! Nieszczęśliwe rody,
 Bohu! co piją twoje zakrwawione wody!
 My tułacze wygnani od rodzinnej ziemi,
 Litujem się ich doli, i płaczem nad niemi.
 Nad Bohem, w północ głuchą w samotnej komnacie
 Klęczy młoda dziewczica u stóp Matki Boskiej,
 Piękna, ze lżę w zrenicy i w żalobnej szacie;
 Zwierzała jój obecne cierpienia i troski;
 Nie dla siebie prosiła wsparcia i opieki,
 Lecz dla tego, co niegdyś był jój całym światem;
 I dzisiaj był nim jeszcze, choć od niój daleki,
 Lecz go już mogła tylko nazwać swoim bratem.
 Jój przeczucia spełnione. Doszły pewne wieści,
 Pewne jak piolunowe jój serca boleści
 O jego zmianie....

Ranny na Boremla polach

Znalazł troskliwą pomoc, znalazł ulgę w bólach
 W gościnnej rodzinie; mile, piękne dziecię,
 Jak młody anioł w wdzięku i świeżości zdrowia,
 Pilnowało snów jego chorych u wężłowania,
 I rany uleczalo, i wróciło życie.
 I on jój opowiadał serca swego dzieje,
 I szczęście uplynione i słodkie nadzieje.
 I Laura go słuchała z tym tkliwym udziałem
 Młodości, co współczuje z przyrodzeniem całym.
 On mówił jój o Zorze, i wspomnienie Zory,
 Laury niezatrważało. Zora, od tej pory
 Była drogą jój sercu! Widziała jój lice
 W obrazku, i jój serca znała tajemnice;
 On wdzięczny swego serca kreślił jój obrazy,
 Z nowym wdziękiem słuchane po tylekroć razy,
 Byle z Laurą rozmawiać, bez wiedzy i chęci,
 Niósł serce z chwil obecnych w krainę pamięci,
 I obecne uczucie do przeszłości wcielał,
 Szczęśliwy, całą przeszłość w mgnieniu oka przelał,
 Aby niém żyć przy Laurze. On jój nierozumiał,
 Chwil przeszłych od obecnych rozdzielić nieumiał;
 I te, i te szczęśliwe, téż ich nierozdzielał.
 Wyzdrowiał jój staraniem; i progį gościnne
 Opuścił, lecz z tych progów serce unosił inne,
 Inne życie. Rana głęboka na czole
 Zagoiła się całkiem. Ale w sercu bole
 I rany się odkryły. I on ich niegoił,
 Mile były, i rychło pierś z niemi oswoił.
 Przy ognisku obozów, i w ciszy, i w gwarze,
 I w samotnym dumaniu, dwie kochane twarze
 Splynione w jeden obraz i jedno wspomnienie,
 Były przy jego sercu, jak dwa wieczne cienie.
 Kraj upadł; obozowe pogasły ogniska,
 Została rozpacz w sercach, i zwaliska.
 Białe orły tulacze i polscy obrońce
 Poszli na cztery wiatry, w cztery świata końce.
 I on znowu odwiedził ustronie gościnne,
 Lecz jakże odmienne! Nie, tam zmiany niema,
 Lecz on na nie innymi spoglądał oczyma,
 O! bo serce miał już inne!
 Laura go powitała i okiem i słowem,
 I sercem znanym jemu, zawsze jednakowym:

Serce niewypiękniało, bo niemogło więcej
 Wypięknąć jak już było, lecz w twarzy dziecięcej
 Rysy się wypełniły, o! właśnie, o tyle
 Ile było potrzeba :
 Aby oko śmiertelne mogło w całej sile
 Ujrzeć całe szczęście nieba!
 Ujrzeć je, zachwycić się, i od jego szczytu
 Wpaść w otchłań ziemskiej doli i poczuć czczość bytu !

WŁADYSŁAW.

Lauro ! może niepoznany
 Przychodzę w te drogie progi ?

LAURA.

Nasze serca bez odmiany ;
 A kto w nich raz pożądany,
 Ten i w progach zawsze drogi !
 Władysławie ! a twe rany ?

WŁADYSŁAW.

Niezagójone ; ta, na czole
 Zagójona, tobie dzięki !
 Lecz są, Lauro ! jeszcze bole
 Jadowitsze, krwawsze męki,
 Co tę biedną pierś kaleczą ;
 Te się bole nieuleczą,
 Czyba z twojej ręki !

LAURA.

Władysławie ! ty znów chory?...
 Znowu ranny ?

WŁADYSŁAW.

Dawna rana,
 O ! od owój jeszcze pory
 Kiedym cię ujrzał, zadana !

LAURA.

Pozwól ! ja ci znowu zajmę miejsce Zory !

WŁADYSŁAW.

Znowu, Lauro ! o ! na nowo
 Niepodobna.

LAURA.

Cóż to znaczy?

WŁADYSŁAW.

Niewłaściwe było słowo,
 Niewłaściwie rzecz tłumaczy;
 Tyś je raz już zajęła; o! i od téj chwili
 Do dzisiaj się serce myli.
 Tyś je raz już zajęła; o! i od téj pory
 Często myśl widzi was obie,
 I nieraz serce chce westchnąć do Zory,
 A westchnienie się omyli,
 I leci spocząć przy tobie.
 Te omyłki tak częste i dni moich schylek
 Jeszcze będzie dniem omyłek.
 Lecz nie! wszak ty przyrzekłaś rany me uleczyć;
 O! pod anielskim starań twoich wpływem,
 Bole się uspokoją; i sercem szczęśliwém
 Niebędę się już mylić i niebu zlorzeczyć.

LAURA.

Władysławie! a Zora?

WŁADYSŁAW.

Po cóż to pytanie?
 Wszak ty czuwasz nademną, a twoje staranie
 Czyż niemoże, Aniele! jój miejsca zastąpić?

LAURA.

O! ja ich nieskażam i niebędę skąpić,
 Bo ja bardzo ją kocham, mój bracie kochany!
 Powiedz: czy ona będzie kochać mię wzajemnie?
 Czy ona będzie rada, że mnie twoje rany
 Opatrywać tak przyjemnie,
 Dla jój szczęścia, by zdrowym wzięła cię odemnie.
 Podziękuje mi ona? pocałuje za to?

WŁADYSŁAW.

Lauro! jaką ci Zora nagrodzi zapłatą,
 Tego niewiem; i o to niepytaj daremnie,
 Ona będzie ci wdzięczną, możesz się spodziewać,
 Zora dobra, nieumie się gniewać.

LAURA.

Miałeś ty od niej wieści? ona tam zapewne
Niejedną już po tobie łzę wylała rzewną;
Pisałaś jęj o sobie?

WŁADYSŁAW.

Trudno było; wojna!

LAURA.

Ach! a ona tam biedna pewno niespokojna,
Drży o ciebie z każdą chwilką;
I nadzieją wieści tylko
Gorzkie lzy rozstania słodzi;
Pociesz ją, Władysławie! to tak się niegodzi;
Napiszesz?

WŁADYSŁAW.

Postaram się.

LAURA.

Pewnie?.....

WŁADYSŁAW.

Niezawodnie!

LAURA.

Klaniaj się jęj odemnie, mojęj drogiej Zorze,
Ale kiedyż to będzie?

WŁADYSŁAW.

Trudno o tęg porze;
Ale mam pewną zęcność za cztery tygodnie.

LAURA.

Ty czas liczysz tygodniami;
Cztery tygodnie wyrzec tak łatwo, tak snadnie,
Lecz przeżyć je w tęsknocie, westchnieniem i łzami,
To trudno. Władysławie! wierz mi, to nieladnie!
Niegńiewaj się że ja ci tęg wymówkę robię,
Bo ja bardzo ją kocham.

WŁADYSŁAW.

Mój drogi Aniele!
Widzieć ciebie, być przy tobie,
I myśleć o kim jeszcze, nie! to nazbyt wiele!
To obowiązek za trudny.

LAURA.

Nielubię cię, boś już nudny,
Niemasz serca!

WŁADYSŁAW.

To pewno?

LAURA.

Bo niekochasz Zory.
To i ja niebędę już kochać cię jak brata,
I będę cię zwać panem.

WŁADYSŁAW.

Lauro! od téj pory
Będę pisał codziennie do całego świata,
Ale ty mi, Lauro, zajmiesz miejsce Zory!

LAURA.

Póki będziesz ją kochał.

WŁADYSŁAW.

A jakże to długo?

LAURA.

Czy już ci się sprzykrzyło? czy chcesz drugą?

WŁADYSŁAW.

Nie, Lauro! jak Bóg na niebie,
Tak, niekocham nikogo prócz ciebie.

LAURA.

Ty mnie kochasz jak siostrę, a Zorę inaczej!

WŁADYSŁAW.

O nie, Lauro! powiedz raczej:
Ją jak siostrę, a ciebie; na to niema słowa.

LAURA.

Jakże ty się odmienił! Dzisiaj twoja mowa
Jakże od dawniejszej inna...

WŁADYSŁAW.

O Lauro! ja niewinien, nie! i tyś niewinna;
Winno moje nieszczęście, co mnie z całą siłą,
I z całą zaciętością, do twych stóp przybiło.

LAURA.

Wróć do niej, Władysławie! serce jój wróć raz!

WŁADYSŁAW.

Niepodobna!

LAURA.

A słowo?

WŁADYSŁAW.

Dać słowo, a czas?

To różnica. Więc, Lauro! już moja utrata
Niecofniona? Ja stracę, stracę moją cześć,
Szczęścia więcej nieznajdę! Nie! tego niezdolam znieść.

A słowo? Tak! dałem je! Słuszne twe wyrzuty,
Lecz czyż ona przystanie, jeśli tylko słowem
Kochać ją będę, do twych stóp przykuty?
A w sercu pustém wtedy dla niej i jałowém,
Każdy dzień żyty przy niej będzie dniem pokuty,
Każdy uśmiech przymusem, każda radość gniewem,
Oddech szczęścia przekłństwem zatruty,

Będzie niszczącym wyziewem,
Co z jadowitej duszy, wznosząc się z ukrycia,
Jój piękną duszę owionie,
I wysuszy źródło życia

W tém anielskiém łonie.

O! jój Iza dopomina się o wielkie rachuby,
I na tém biedném sercu pomści się jój zguby
Moja cześć cała : dotrzymanie słowa.
A szczęście! Lauro! każesz? A ta pierś gotowa.

LAURA.

Władysławie! cześć twoja i szczęście i cnota,
W twojej mocy do téj chwili,
A burza, co tak dziko sercem twojém miota,
Wkrótce się przesili,
Bądź tylko sobą!

WŁADYSŁAW.

Lauro! taka rada
Dobra do wymówienia, nie do wykonania.
Mnie czeka jedno : niebo lub zagłada,
I ty, daj wyrok : życia lub skonania!

MAURYCY

LAURA.

Władysławie! do téj pory,
 Znałam cię przyjacielem nieznanéj mi Zory,
 Lecz drogiéj sercu memu, bo była twym światem,
 I tego świata szczęściem i ozdoba;
 A ja bylam ci siostrą, jak nad drogim bratem
 Czuwałam nad tobą
 Dla jéj szczęścia, a dzisiaj twoja dusza inna;
 Lecz moja jednakowa, mnie jéj szczęście drogie;
 Ja nieszczęśliwą być mogę,
 Lecz niebędę winna!

WŁADYSŁAW.

Ty płaczesz, mój Aniele! cóż iza twoja znaczy?
 Jestże to iza współczucia nad mém przeznaczeniem,
 Czy zimna iza litości dla mojej rozpacz?

LAURA.

Bracie mój! ja płaczę nad twojem cierpieniem,
 Ja jestem przyczyną:
 Że i twoje, i Zory, i moje lzy płyną.
 Nad waszemi sercami, co mi równie drogie,
 A winna, nieszczęśliwa, ulżyć im: niemogę
 Władysławie! powinność!...

WŁADYSŁAW.

Lauro! ciężkie słowo!

LAURA.

Lecz święte i konieczne!....

WŁADYSŁAW.

Lauro! bywaj zdrową!

Dziwne to serce ludzkie ! A któż stworzył cnoty ?
 O ! zapewne nie serce, lecz umysł despoty
 Rozumu ! ten wróg szczęścia, co patrzy ze wstrętem
 Na każdą radość życia ; nauką obłudną,
 Kazał sercu zwać to — świętem,
 Co wykonać mu trudno !

Prawodawca ! sam jeden wyjęty z pod prawa,
 Lał prawa, przygniott niemi, i sam się najgrawa ;
 Aż gdy pierś tęsknotami, jak szkielet wysuszy,
 I każde źródło szczęścia zatamuje w duszy,
 I step życia bez barwy, powabu i blasku,
 Rozciągnie przed oczyma jak pustynię piasku,
 Wtenczas uśmiechem wzgardy, nikczemny szyderca,
 Za szczęście, zniewieściałość, za utratę serca,
 Wiernych swoich wyznawców, nieboszczyków żywych,
 Chrzeci najgłupszém nazwiskiem : mędrców i enotliwych,

A jednak cnoty wznoszą do siódmego nieba ;
 Tak mama nauczyła, tak wierzyć potrzeba,
 Pierś cnotą hartowna jest jako pierś tarczy,

Co na każdy cios wystarczy ;
 Albo jak szubienicy nieruchome drewno,
 Wybuduj ją, podnieś się, dotrwa ci zapewno.
 Cnota, to święte słowo i przyjemne Bogu,
 Knut ludzkości, co stał się bóstwem jój z nałogu,
 I serce, dobre dziecko, ze łzami i wiarą,
 Czi ją najdroższą uczuć i serca ofiarą.
 Bałwochwalczy obrządek ! dary ogniem spłoną,
 I lekki dym uleci, taka korzyść cała ;
 A łza tylko, jak w urnę, spłynie w pierś sparzoną,
 Co jako urna składem popiołów się stała.

W to święte imię cnoty, o jednej godzinie,
 Nad Bohem i nad Dniestrem potrójna łza płynie ;
 Trzy młode, piękne serca, co dla szczęścia były,
 Owiał oddech trucizny w święte imię cnoty ;
 I trzy piersi żyjące są jak trzy mogiły,
 Jak trzy urny paniątek, żalów i tęsknoty.

Nad Bohem, w północ głuchą, jak Anioł pokory,
 Dziewica błaga ulgi, pociechy i wsparcia,
 Łza czysta i niewinna z pięknych oczu Zory
 Płynie bez otarcia.

Jój przeczucia spełnione, doszły pewne wieści,
 Pewne, jak piolunowe serca jój boleści,
 O jego zmianie. Wierny przysięgom, nie sobie.
 Zmienił serce, nie słowo. Jak kamień na grobie,
 On był wierny przeszłości, ale bez udziału
 I bez współczucia patrzył na przyszłość jałową,
 Jak światła na jój stopie znikaly pomału;
 Tylko po pustym pamięci odłogu
 Snuły się ścieżki nalogu.

I jak pręgierz samotny tkwiło dawne słowo,
 Przy którym, powinności łańcuchem przykuty,
 Miał żyć pod godłem cnoty długie dale pokuty.
 Te myśli, wylegnione w serca tajemnicach,
 Kryły się pod uśmiechem, co na jego licach,
 Z rozkazu, jakby napis na grobowcu, błyszczał,
 Gdy przymus pierś mu targal i życie wyniszczał.
 Nie ta była myśl Zory! Kochanki źrenice
 Przechyliły i odgadły serca tajemnice;
 Nie dla siebie kochała, nie dla siebie żyła,
 Istnością jego bytu swój byt zamieniła.
 Jój modły były czyste, żadne ziemskie tchnienia
 Niezmaćcily na chwilę jój serca bez skazy,
 W którym nie było ani zażalenia,
 Ni żółci, ani zemsty. Świętszy stokroć razy
 Ożywiał ją anielski oddech przebaczenia;
 I miłość zwyczajnemu oku niedociekła.
 Ona dla jego szczęścia i jego się zrzekła.
 Długą męką tęsknoty, w serca tajemnicy
 Zniszczało źródło życia, i zgasła dla świata
 Promienista jój dusza, a oko dziewicy,
 Niezłenna jak nieszczęście, czarna jak utrata,
 Miała zakryć klasztoru ordzewiała krata.
 I na długo? Na wieki! O! nie! za pół roku
 Znowu barwą różową świat zabłysł jój oku,
 Poszła za mąż! A Laura? Także!

Nieszczęśliwy!

Któż rany jego serca głębokie uleczy?.....
 Niech się państwo nietroszczą, to niewielkie dziwy,
 Poszedł banko o trzecią, i skończone rzeczy.

Oba poemata, przywiedzione powyżej : RENEGAT (inaczej : ODSTĘPCA) i BANKO, które ich autor, pomimo iż zawierają wiele scen rzeczywistych i prawd niczem niezaprzeczonych, — *fantazyami* nazywa, były pisane : na tułactwie — w Galicyi. To wyrażenie, wyda się kiedyś, pokoleniom potomnym, *fantazyą* także. Bo, i jakże potomność, dla której : Postęp, Duch-Czasu, Bóg, Opatrzność, — wreszcie mniejsza jak kto sobie zechce to nazwać, — z każdym dniem oczywiście, inne anizeli dla przeszłości i teraźniejszości przygotowuje dzieje, pojąć będzie mogła, ażeby Polak w Polsce, w kraju własnym, na swój ziemi rodzinnej i ojczystej, mógł być kiedy tułaczem?!... A jednakże niestety! prawdą jest, — prawdą dzisiaj powszechnie znaną, — i na wielu z pośród nas umęczonych, lub dotychczas męczonych, osobistém doświadczeniem stwierdzoną, iż za czasów, w których one poemata składowane były, Polak w Polsce, w kraju własnym, na swój ziemi rodzinnej i ojczystej,—a w Galicyi zwłaszcza, był nie tylko tułaczem, ale nieszczęśliwszym, ale srożej niż na wszelkiej ziemi obcej, prześladowanym i ściganym tułaczem. Polski tułacz, po ziemiach obcych, bywał nawet, czasu onego, często miłym, pożądanym, ze spółczuciem serdeczném, z gorącemi okrzykami i oklaskami pozdrawianym i przyjmowanym gościem; — kiedy o tymże czasie, na ziemi własnej, rodzinnej i ojczystej, nie było dla jego stopy jednej piędzi ziemi do wypoczynku, jednego kamienia na którymby zmęczoną głowę na chwilę mógł być złożyć bezpiecznie. Ścigany i pędzony z kąta w kąt, we dnie i w nocy, kończył zwyczajnie na wydaniu Moskwie, gdzie go knut, śmierć, więzienie albo męki Sybiru czekały, — lub na cięższém jeszcze konaniu w lochach austriackich : w Szpilbergu i Kufstajnie. Gdybyż na tém było się kończyło! Wróg — zaborec, zawsze będzie ciemiejącą ujarzmioną ziemi! Ale, ileż za onego straszego czasu było wydarzeń, iż pod wpływem ogólnego przestachu i prześladowania najezdcy, brat w spólnej matce — ojczyźnie; brat! o słowo boleśne do wymówienia : brat w matce — rodzicielce, stawał czasem względem brata, jakby był wrogiem jego?... Zaisteż, wśród takiego położenia, piszącemu poecie — tułaczowi, niemożliwy się wesołe roić myśli po głowie i pieszczotne rymy łać się z pod pióra; — i tu jest

złożona tajemnica onych gorzko-bolesnych dotknięć w poezjach Gosławskiego napotykanych, oraz klucz do właściwego ich pojmo-
wania.

Do rzędu poezyi Maurycego Gosławskiego, w rodzaju *Renegata* i *Banko*, należy poemat, również przez niego *fantazją* nazwany, a jak oba poprzednie wiele także scen rzeczywistych i prawd najczystszych treszczący, pod tytułem : TĘSKNOTA, ogłoszony drukiem w Paryżu, 1833 roku, wraz z innemi drobniejszymi poezjami, poświęconemi Polkom, a z przedmowy do których pozwałam sobie przytoczyć kilka słów własnych poety, jako najlepiej malujących owoczesne usposobienie i uczucia jego; — oto są te słów kilka :

» Kiedy ciało matki rodziny odniosą już z katafalka do mogiły,
» jakaż w domu pustynia?! Darimo oko i rozum wmawiają, że już
» jej niema! Serce sieroty niewierzy téj pewności wyrocznój! Rade
» się ludzi! I dziecinie zdaje się, że tylko na niedługo matka wy-
» jechała z domu i powróci wkrótce; — że znużona, lub chora,
» spoczywa w drugim pokoju, tylko jej widzieć niewolno, aby snu
» jej nieprzerwać; — lecz się ona obudzi niebawem, i ujrzy ją
» znowu niecierpliwe oko, — a w chwilach oczekiwania, dusza
» zali się tkliwą piosnką tęsknoty, co ma jej sny kołysać i chwile
» obudzenia powitać. Miłe sny o niej i marzenia, rade serce
» przedłuża, a pieśń żalu brzmi nieprzerwana w zbolałej piersi
» sierocój.

» Takie to dumki nuczone przy grobowcu ojczyzny, przynoszą
» ogółowi mego plemienia osieroconej polskiej rodzinie, porucza-
» jąc je opiece Polek, pod których bliższym wpływem wzrastać
» mają pokolenia przeznaczone wyręczyć nas w czuwaniu nad tą
» drogą mogiłą i dożyć kiedyś chwili zmartwychwstania.

» Wydają te śpiewki w stanie pierworodnej ich niedoskonałości,
» jak były powtarzane w obozie, niegładkie i chropowe, z serca —
» więc niesztuczne. Wielu ze śpiewaków naszych, ci zwłaszcza,
» którym burza i jęki narodowej wojny, świetność naszych zwy-
» cięstw i żałoba upadku, niezdolały przerwać spokojnych zatru-
» dzień poetycznych, mogli bez wątpienia w domowém zaciszu,
» nadać pismom swoim cechę wyższej doskonałości; ręka niezer-
» wana pałaszem, zwykle trąca biegłej struny lutni, — wielu mnie

» przewyższy talentami, ale żaden miłością téj ziemi, której broni-
» łem i dla której śpiewam.

» I wy Polki! nieszukajcie tu kwiatów. Nie w salonach wdzię-
» kami natchnęłyście pierś, która was wielbi! Wyższe to były
» natchnienia! Utrata najdroższych przedmiotów waszój czułości, i
» dobrowolna wasza zgoda na poświęcenie ich ojczyźnie; tyle cier-
» pień z męzką znoszonych wytrwałością; w lazaretach kojone bole
» waszém staraniem; każda kropla krwi zatamowanej w bratniej
» piersi szarpiją przez was daną, — to są wasze zasługi i wasze nie-
» zaprzeczone prawa do czci i wdzięczności, u tych, co się stali
» godnemi waszój opieki, choćby tą tylko ofiarą, że przez czas prze-
» byty na polu bojów, ujęli sobie rozkoszy widzenia waszych lic i
» enót!... »

Z przykrością, zmuszony jestem, powodowany koniecznością zamknięcia się w rozmiarze zakreślonym dla obecnego przedmiotu, odmówić czytelnikom przyjemności przywiedzenia tutaj, tych, już przeszło temu ćwierć wieku, na tułactwie drukowanych, i dziś prawie nieznanych, poezyi. Może kto w przyszłości szczęśliwszym odemnie będzie. Może jaki zamożny krajowiec lub ziemianka, wyręczając ubogie pielgrzymstwo polskie, ogłosi całość poezyi Gosławskiego, i tym sposobem zechce: dobrze zasłużyć się ojczyźnie. Ja, poprzestać muszę na ogólném tylko wspomnieniu, i krótkich kilku wyjątkach.

Poezye Maurycego Gosławskiego, ogłoszone na tułactwie, drukowane były w Paryżu, 1833 r. w dwóch tomikach, pod tytułem: POEZJA ULANA POLSKIEGO, POŚWIĘCONA POLKOM, przez M. G.

Pierwszy tomik, oprócz przemowy i przypisów, obejmuje trzydzieści cztery różnego rozmiaru poezyi z czasów powstania listopadowego, lub pierwszych chwil tułactwa, które przetoż, według tego, pod wpływem jakiego czasu i okoliczności były pisane, ożywia żołnierska, obozowa i bojowa wesołość, albo żałośna i bolesna na tułactwie tęsknota. Do rzędu obszerniejszych należą: *Mogily Progi*; *Do Adama Mickiewicza* (1); *Majdanek* (2); *Na śmierć męczenników Rossyjskich*; *Podolanki*; *Sęp Sybiru*; — oraz *Zwątpienie i Polski Tułacz*, o których na początku mówiłem.

Drugi tomik składają: *Wieszcz Ukrainy*, dwa ułamki z *Renegata*

czyli *Odstępy*, i *Tęsknota*, fantazya we trzech działaniach, albo aktach, zajmująca największą część tomiku, a z której, jako najbliżej przystającej do poematów powyżej zamieszczonych, i prawie z niemi jedną całość tworzącej, przytaczam parę ustępów :

Rzadki tu widok szczęścia na tej ziemi placzu,
Człowiecze! męczenniku! wygnańcze! tulaczu!
Jeżeliś, choć raz, łzą tkliwą twoich lic nieskropił,
Choć raz w lubém objęciu duszy nieutopił,
A do zimnej mogiły, od czasu urodzin,
Włokąc pasmo nieżywe obojętnych godzin,
Niezaznał słodkich chwilek radości, wesela,
Niedawał drogich imion : Lubój, Przyjaciela!
I schodzisz dziś, kochaną nieplakany leżką,
Twarde sny twe przedłużać pod grobową deską,
Bez wspomnień, bez pamiątek, z pamięcią zatartą,
O! jakże się nad tobą ulitować warto!
Jeżeliś twego nieba przeto niedostąpił,
Że ci go wyrok krwawy zazdrościł i skąpił!
Nie twoja była wina, — wyższą party władzą!
I losem ci podobni tkliwą łzę ci dadzą.

Lecz jeżeli wyższych natchnień tajemnicza siła
Serce ci żywszych ogni blaskiem rozjaśniła,
A tyś dłonią lodową cisnął je i stłumiał,
A mogąc żyć podwójnie, i razu nieumiał!
Dumny, czolem uderzyć przed słabszą istotą,
Drogieś strącał natchnienia zimnem : *mniej* o to!
I stoisz opuszczony na samotnym grobie,
Obcy, wszystkiemu obcy, krom zbrzydlemu sobie,
Bez wspomnień, bez pamiątek, z pamięcią zatartą,
Litować się nad tobą i wzgardzić cię warto!

Jaki widok nierówny!... tu skala boleści,
A tam brzeg ukwiecony żądne oko pieści!
Na skale śpią mgły wieczne, na brzegu pogody!
A spodem między niemi płyną mętne wody!
To brzegi losów naszych, to naszych dni rzeka
Po łożu kamienistém leniwo przecieka.
Bez smaku sama z siebie, bez barwy, bez życia,
Cechę tylko własności bierze od odbicia,
O jaki brzeg topielca przypadkowo trąci,
Takie uczucie pierś mu rozwidni lub zmąci,

Takie piętno, i duszę, i myśli mu naznaczy :
Lub oddechem radości, lub jadem rozpaczy.

Szczęśliwi nad wyrazy, wy! co na tym świecie
Pod godłami uśmiechów tamtędy płyniecie,
Dłoń, nieznanęj opieki, co nad wami czuwa,
Łódź wam bytu tak lekko po głazach przesuwaj!

A inniż tam pomocą niewspareci nieczyją
Po fali się bezdrożach potępieńcy biją,
Nikt niktących westchnieniem niepożegna cichem,
Ni odwiedzie lżą tkliwą, ni spotka uśmiechem,
Sami, i wiecznie sami! żadne oko z brzegu
Nieśledzi niespokojne znojnego ich biegu.
Jak płyną? dokąd płyną? czy dopłynąć mogą?
A cóżto ma obchodzić i zajmować kogo?
I niepytaj daremno, bo w życia żegludze,
Obojętność, jak wichher pędzi żagle cudze.
Lecz gdy nawa zastrzęgnie, lub rozbićiem prysnie,
Bieglejszy żeglarz śmiechu w ustach niezaciśnie,
I biorąc szczątki łupów z twojego rozbićcia,
Powie : żeś nieostróżnie płynął lodzią życia.

Czyżście niezdolali żadnej lży zasłużyć?
Ofiary własnej winy! lub losu nadużyć!
Coby stojąc za wami w kochanej żrenicy
Błysła wam zorzą ulgi, choć raz, męczennicy!
Zajrzyjcie na dno czyśćca kornem okiem wiary,
Tam straszno, tam goreją potępieńcy kary!
To także oplakane własnych win ofiary!
Cierpią! wieczne zarzewie pali ich i pali,
A jednakże za nimi płaczą pozostali.
To lżej im, — cierpią chętniej i sercem posłusznym.
Może kiedyś, choć późno, w świętym dniu zadusznym,
Szczerą lżą pozostałych Twórcą przebłagany
Spuści im krwi kropelkę z Zbawiciela rany.
Gieszcież się! i ufajcie wiarą nieobłudną!
Spadnie kiedyś ta kropla, otchłanie ochłodną,
I winnych duchów waszych przebaczone krocie,
Wzniosą się przed tron górny w cherubinów locie.

Tak i w ziemskich cierpieniach na ziemskiej powodzi,
Kiedy cios nad wytrwałość w serce ci ugodzi,

Gdy w piersi niezgaszone zajmą się pożogi,
 A wicher dni twe żenie na rozstajne drogi,
 Więj się! na cztery wiatry, gdzie cię oczy niosą!
 Więj się! żadnej pociechy niewzmożony rosą!
 I tu, i tam, pustynia leży przed oczyma,
 Wkoło noc, żadnej zorzy przewodniczej niema,
 Zbyt znudzony — mózż dalej, chceć się dalej błakać,
 Zbyt dumny — się poniżyć i skargi wyjąkać!
 Cóż ci zrobić zostało? Uderzyć żelazem,
 I zakończyć wszystko razem!

Lecz rzuc okiem raz jeszcze, przebież wspomnień dzieje!
 Może tam jakie światło jeszcze zajaśnieje,
 Może tam ukochane jakie lice stoi,
 Co cię jednem spojrzeniem na przyszłość uzbroi.
 Co tkliwy biorąc udział każdej twojej doli,
 Ręką cię wybawienia z przepaści wyzwoli.
 Co czujne losom twoim przystawując strażę,
 Stał ci z dłoni wytrąci, i żyć ci rozkaże.
 A może twego życia jęj szczęściu potrzeba?
 To żyj! cierp! i błogosław dobroczynne nieba!
 Złączone serca wasze modlitwą oboją,
 Zagniewaną dłoń Boga z pocisków rozbroją,
 I jeszcze do zazdrości będą losy wasze!
 A choć i przyjdzie za nią spełnić jądów czasę,
 Jak słodko spełnić: *Za Nią!* A gdy zguba bliższa,
 To i duch w męzkiej piersi dumnie się podwyższa!
 I przy samym dopiciu, w kielich jądów na dno,
 Krople słodkiej nagrody jeszcze ci upadną!

Uzbrój się uśmiechami miłości, przyjaźni,
 Bo i losy żelazne i ludzie żelazni.
 Tamte — siłą otwartą, ci — wiarą obłudną,
 Zgniota, w przepaść potrąca, i dotrwać im trudno.

Przyjaźni! i Miłości! cześć słowa, bez treści!
 Uśmiech to, ale gorzki na lieu boleści,
 Którym się despotyczna przeznaczenia pycha,
 Na przekorę cierpieniu, złośliwie uśmiecha.

Tak los, rysy wybladłej od cierpienia twarzy,
 Uśmiechami radości niekiedy obdarzy;
 Aby potem ostrzejszą, jadowitszą szponą,
 Jął za serce, i silniej targał pierś skrwawioną.

Ha! toż niéma na ziemi, jak cała szeroka,
Czystego tchu dla piersi, czystój lzy dla oka!...

Jest szczęście, nieuległe przeznaczeń grabieży,
Płyń z źródła wielkości, i jej przynależy.
Nie twoje, — zarobione drugim na posłudze,
Najdroższe, — bo nie twoje! najwyższe, — bo cudze!
Nie mdły kwiatek, — ofiara nierozmarzłych kwietni,
Dąb to jest na smętarzu, — silny, wieloletni;
Bujny, bo parosć jego co wyciąga soki,
Bez zawodu, po pokarm chodzi w grób głęboki;
I z piersi, która niegdyś wrzała tak gorąco,
Wyciąga siły swojej treść ożywiająca.
Toż nie dziw, że się rozrósł po nad groby żyzne,
I ocenił szeroko grobowców ojczyznę.
Spójrz! na tego dębu olbrzymią budowę!
Jest to szczęście nie twoje, jest to narodowe!
Z oddechów twojej piersi, z twojej krwi kropelki,
Urosł ten dąb wyniosły, długoletni, wielki.
Dla ciebie każda jego gałązka i listek,
Dla ciebie i zieloność i cień jego wszystkich;
Dla ciebie, lecz nie twoje, bo krwi twojej części
Przeszły na własność kraju i na jego szczęście.
Jego się raduj chwałą, jego śmieję uśmiechem,
Cudzy sobie, oddychaj ogółu oddechem,
I uroń go na górnej ogółu usłudze.
To jest szczęście najwyższe — najwyższe! bo cudze!
A jeżeli uraganów północne napady
Uderzą dziką pierśią i wyrwą z posady,
I tę kłodę wiekową na ziemię obalą,
A przychodnie, lub swoi, świętokradzką stałą,
Owe życia uśmiechy, tę zieloność świętą,
I rozrosłe konary bezbożnie obetną?
Kiedy korzenie dębu, co tkwią w ziemi silne,
Rwane gwałtem, odwalą płyty namogilne,
I święte koście przodków, czasem niepożyte,
Rozrzucą gdzieś szeroko z grobu wydobyte,
Aby noga nieczysta deptała ich szczątki,
Aby się wzrok nieczysty urągał z pamiątki?
Gdy orleża wyległe na dębu ramionach,
Co kiedyś grom ognisty miały nosić w szponach,
Sieroty bez ojczyzny, bez matki, bez ojca,
Pójdą dnie niewolnicze pędzić w szczeblach kojca?

A całej tej rodzinie, co pod dębem cieniem
 Rosła, żywiąc go swego życia odetchnieniem,
 Na głowy i na serca padnie calun kiru,
 A przed okiem zalegnie pusty step Sybiru?
 Kiedy przyjdzie bezsilną wściekłością się pienić,
 A krzywd niemóźdz się pomścić, ni losów odmienić,
 I słyszeć jak szydersko łańcuch brzmieniem dzikiem,
 Wydzwania ci na szyi : *Jesteś niewolnikiem!*
 To czyż i w tedy powiesz : Na kraju usłudze
 Dnie stargać, — górne szczęście! Najwyższe, — bo cudze!
 Toż dożyć dni upadku i urągowiska,
 Jest także wzniosłe szczęście, co mu brak nazwiska? !...

 Słuchaj! jest i na gruzach szczęście niezawodne,
 Serce z chwil przedupadku, męskiej piersi godne,
 Piersi, co jak stal wroga, jak tve losy twarda,
 A w niej kłątwa bezsłowna i niema pogarda.
 Ich oddech cię wyniesie nad los i nad ciebie,
 A kogo kłąc i gardzić, — tam już wiedzą w niebie!
 Alboż to małe szczęście w serdecznym uścisku,
 Jako sęp, w głuchą północ, stanąc na urwisku,
 I słyszeć czarujący śpiew północnej sowy,
 Gwoli sercu, bo dziki, jak twa myśl, grobowy;
 I duszą mu wtórować, i na skrzydłach burzy
 Stać pieśń swą do przyszłości, która ją powtórzy;
 I w tężę samej burzy spodmogilnej nucie
 Czytać całej natury cierpiące współczucie,
 Co jak tkliwa pierś matki, albo przyjaćlela,
 Pojmuje głos twój duszy, i ból jój podziela;
 I w tle burzy, gdy luną błyskawic zadnieje,
 Ujrzeć całe i serca i dni swoich dzieje.
 O! gdy oddech tych wpływów pierś ci męzką wz noże,
 Syn upadku, jak szatan, na życia bezdroże
 Pójdiesz, dzikich tajemnic osłoniony chmurą,
 Wyć z wichrami po nocach, — i w zmowie z naturą,
 Głosem kłątwy, jak piekła oddechem ognistym
 Stwarzać widma.

 Jedno szczęście najwyższe! — wybranym : twarz Boga.
 A synowi upadku : zniszczenie, pożoga,
 Zgryzota, płonny przestрах, albo mary wroga.

* * *

Bił wicher od północy, i ryczały burze,
 Biły grady, a księżyc utopił się w chmurze;
 Było ciemno i straszno; — nad urwiskiem skały,
 Zblakany, zniemożony, przeziębły, zgłodniały,
 Stał nieznanym wędrowiec; — któż on jest, i po co,
 Drze się tam, walcząc z burzą, zamiecią i nocą?

Niepytaj kto on taki, nieś mu pomoc raczój,
 Ktokolwiek jest? czyż niedość że ginie w rozpacz! —
 Coraz i coraz słabszy, coraz bliższy końca,
 Chciał raz jeszcze obaczyć złote światło słońca;
 Lecz darmo z ust krzepnących szła prośba gorąca.
 Przeparty ostatniemi z boleścią zapasy,
 Zasnął snem nieprzespanym na wieczyste czasy.
 Patrz! od wschodu gwiazdy bledną,
 I słońce wpływa na nieba.
 Mniejsza o to! — świeć, nieświeć! już mu wszystko jedno,
 Już mu cię wigcój nie trzeba.
 Gdy cię wzywał, — nieprzyszłość uśpione daleko,
 Darmo cię konającą wyglądał powieką;
 Teraz, blask nieproszony, natrętnie oświeca
 Zakośniale w ciemnościach i martwe już lica,
 Oko jego otwarte, lecz, z za śmierci cieni,
 Niewidzi i pogardza blaskiem twych promieni.
 Możesz śmiało odciągnąć nieprzydatne blaski,
 Lepsza krzywda — a w porę, niż po czasie — łaski.

Nieraz i słońce świeci, i pogoda w górze,
 A w duszy wichry ryczą, w duszę biją burze,
 I myśl w nocy odmgćie wijąc się bez końca,
 Na widokregu ulgi darmo szuka słońca.
 Daremne prośby nasze, nasze łzy i skargi,
 Z najdroższym głosem serca wyrok idzie w targi:
 « Oddaj mi twoją młodość, radość i wesele,
 » Ja wszystko, co ci drogie, od ciebie oddzielę;
 » Każdy oddech zatruję, każdą myśl ci zmączę,
 » Każdy uśmiech dniem życia w rachunku potrączę.
 » Wszystko, pod mojej woli silne wezmę strażę,
 » A na krańcu przyszłości, — szczęście ci pokażę.

» Wieczne jego życzenie, — ma być twojém hasłem,
 » I pierś wrzącą zarzewiem palić nieugasłém ;
 » Aż gdy ci serce strawią tęsknoty powolne,
 » Gdy już szczęścia słodczy czuć niebędzie zdolne,
 » Wtenczas, przy twoich marach, — lub, na twoim grobie,
 » Jego blaskiem odziany, ja — stanę przy tobie ! »
 Mniejsza wtedy o ciebie, i o twoje blaski,
 Lepsza mi krzywda — w porę, niż po czasie — łaski.

Stoją mary śmiertelnym odziane całunem,
 A przy marach, jak gdyby rażeni piorunem,
 Wszyscy klęczą do koła, — aż żal spójrzeć bierze,
 Klęczą, i płaczą rzewnie, i mówią pacierze.

Piękna! — tak, jak i była przed skonaniam chwilką !
 Nie ! ona nieumarła ; — Nie ! ona spi tylko !
 W ślubnej szacie, — na głowie z rozmarynu wieniec,
 Spi, warzeń czarownych syta ;
 Na licu igra rumieniec,
 A z ust jęj uśmiech wykwiła.
 Obaczycie ! ona spocznie,
 I obudzi się niezwłocznie.

Jest przy czasie skonania, krótka jedna chwila,
 Kiedy się życie wieczne z śmiertelném przesła,
 W nięj, dusza ciała, na pożegnanie,
 Nim w krainy wieczne wzleci,
 Dając ostatnie pocałowanie,
 Urokiem swęj piękności twarz trupa rozświeci.
 Wtenczas, rys tęg piękności, z ziemskiego oblicza
 Wszystko ziemskie wydziedziczą.
 I martwą postać człowieka,
 Rajskiej uroczystości, szatą przyobleka.

Ach ! patrzaj ! tak z jęj twarzy, tajna jakaś siła,
 Promienie zachwycenia w okolo rozsyła.
 Dusza, widno niechętna oderwać się od nięj,
 Ulubione oblicze rozjaśnia pogodnięj.
 Jeszcze jego widokiem napięścić się chciwa,
 Jeszcze, jāk przyrośniona, na nięm odpoczywa ! . .

Czyż już niemasz — nic, na ziemi ? !
 Gdzież wszystkie twoje skarby ? ! — « W grobie ! »

— A ty żyjesz, jak kamień grobowy nad niemi?!
 — « *Muszę!* » — Biada! biada tobie!

Na kochanej mogile! słońce świeci milój!
 Na kochanej mogile, — płyną pociech zdroje!
 Idź tam! i zdroje lez wylój!
 Idź! tam wszystkie ulgi twoje!

I jeżeli cię powinność ciężkimi ogniw,
 Po stracie życia, jeszcze wiąże przy żywocie,
 Jeżeli, z rozdartém sercem, chodzący trup żywy,
 Poślubiony cierpieniem, i wiecznej tęsknocie,
Trwać musisz, a nieufnyś *dotrwać* o twój siłę,
 Idź! i na drogiej mogile,
 Poprzysięgnij cnotcie!...
 To, w zbolełe serce twoje,
Wytrwałości wpłyną zdroje!

Na kochanej mogile, — zrób postanowienie!
 Stwierdź je, pieczęcią klątwy, na kochane cienie,
 I, raz przysiężonemu, stale *dotrwać* umiej,
 — To, z kochanej mogiły posłane natchnienie,
 Otrętwi twoją rozpacz, okamieni boleść.
 I, żyjący obraz mumii,
 Przetęsknisz drogę życia obumarłym duchem
 Zwiędłym sercem, okiem suchém,
 I, bez wsparcia żelaza, grobu zdolasz doleść!

Są, na drogiej mogile, inne ulgi jeszcze!
 Gdy serce, dłoń utraty, w krwawe weźmie kleszcze,
 A dusza, bez ustanku, w wirowym obrocie,
 Bije się po żelaznym cierpień kołowrocie, —
 Idź! — gdzie, na drogim grobie, płacze cyprys zwisły,
 Wyzwij! — ukochane cienie,
 — To, z kochanej mogiły posłane natchnienie,
 Jak rdza, przeje ten łańcuch, co spajał ci zmysły.

Wtenczas, możesz, niczemu w naturze niedlužny,
 Wydrżać się powinnościom, wykraść się cierpieniom,
 Jeszcze ci błysnie szczęście z daru tej jałmużny,
 I będziesz je, raz jeszcze, drogim winien cieniem!...

* * *

Po błękitném podniebiu płynie księżyc bład,
A iść pod jego światłem, to też zaraz w ślady,
Jakkolwiek człowiek mały, wielkoludzkie cienie
Biega za nim, jak znikłych słodczy wspomnienie.
Ni odegnąć, ni uciec, — w którą ruszysz stronę,
Nieodstępne przy tobie, są jak przyrośnione.
Czemuż, proszę, ten księżyc, to wkleśle podniebie,
Choć raz ich kiedykolwiek niewźmie do siebie?

Ach ! czemuż gwiazda szczęścia, co się czasem zjawia,
Chmurne cienie przeszłości po sobie zostawia?
Gwiazda znikła, a pamięć, jak chmura posepna,
Przyrośniona do duszy żyje nieodstępna.
Czemuż, gdy z nieba wyszła, niknąc zuowu w niebie,
I wspomnień pozostałych niewźmie do siebie !

Księżyc świeci nieśmiało, — a przestrzeń nadziemna
Niepewną tli się barwą, ni jasna, ni ciemna.
To właśnie taka barwa, na pół tajemnicza,
Jaką uśmiech nadziei serce zapożycza.
W takim brzasku niepewnym życzenie się wije,
I młode serce chłopca niewyraźnie bije,
Nim spójrzanie anioła niebo mu odkryje.
W takim brzasku niepewnym dusza matki drżąca,
Niepewną przyszłość syna trwożliwie przetrąca,
I miłość, pół lękliwa, a pół ośmielona,
Tkliwém, rzewném westchnieniem młode wznosi łona.

Księżyc świeci nieśmiało, — patrz ! u wrót smętacza,
Jakaś się lekka postać, czy słup cienia stwarza.
Może to duch przeszłości spłynął na promieniu
Litować się na grobach, żyjących cierpieniu ;
Może to duch mogiły, z zapłakaném okiem,
Wyszedł pogadać z wiatrem i jasnym obłokiem,
I przesłać na ich skrzydłach w żywą pierś kochaną
Sny o sobie, co mają pocieszyć ją rano?
A może i syn ziemi, co usnąć niemoże,
Rzucił na chwilę cierpień kamieniste łożo,
I wyszedł zwiedzić życia i śmierci rozdroże.

Między ziemią zbyt bliską a niebem dalekiem,
 On, wygnaniec obojga, jest tylko człowiekiem ;
 Pragnie nieba, — a z ziemią rozstać się niemoże.
 Wieszże ty, co jest ziemia? zimna bryła błota,
 Którą rządzi znudzenie, czczość albo tęsknota.
 A ci, co na niej tęsknią, co w słodkiej obłudzie
 Przelatują w uśmiechach, albo drżą w obawie,
 Jak na wschód i ze wschodu ciągnący żurawie,
 To są goście chwilowi, — to wędrowce : *ludzie!*
 Jakież pociąg ich wiąże nieprzeparty, wieczny,
 Do tój pustyni życia?
 Widzieć zachód ostateczny
 Na dziedzinie rodzinnej, znanėj od powicia!
 Ach! ta siła niepojęta,
 Wielka, tkliwa, górna, święta,
 Ją przynosi pierś dziecięca
 Z najpierwszym życia oddechem,
 Ona brzmi w męskiej piersi myślą, czynem, echem,
 I pierś w której poczęta, wznosi i uświęca.
 Wyższa nad stan nużący czczości lub przesytu,
 Nad wszechmocną żądzę bytu,
 Władnie i pogardza niemi.
 Niema, niezna nic na niebie
 Równego sobie, prócz siebie;
 Ten pociąg, jest to cnota : *Miłość swojej ziemi!*

Na tój ziemi, gdzieś się rodził,
 Pod drogą strzechą ojczystą,
 Gdzie ci ranek życia wschodził,
 Gdzieś pił życia słodycz czystą,
 Niemasz miejsca, ni chwili, byś ich nieobchodził
 Myślą, radą, westchnieniem, lub lżą uroczystą!
 Na ziemi uczuć twoich, choć ci dłoń utraty
 Zniosła najpiękniejsze kwiaty,
 Są jeszcze drogie skarby, — święte, bo nie twoje!
 Trawką, co zieleńiła młodości twój błonie,
 Na grobach twej przeszłości rozwite powoje,
 Drzewko, co ma ocenić grób po twoim zgonie,
 Serca, co biją w kolo, choć nie tobie biją,
 Twarze braci, współludzi, co pod jedném słońcem,
 Tym, co ty, oddechem żyją,
 Co bezsilnym dni twoich początkiem i końcem

Opiekować się raczą,
 I z uśmiechem radości lub niemą rozpaczą,
 Grudką ziemi rodzinnej martwą twarz przykryją,
 To są skarby téj ziemi! coś jéj wdzięczność dłużny
 Za radość, za uśmiechy, za lzy i cierpienia,
 Dane ci od niéj darem obfitéj jałmużny,
 Równó z chwilą odetchnienia.
 To są twe skarby rodzinne;
 Którym krew twoja należy,
 I twoje piersi powinne
 Bronić je od zniewagi, gwałtu i grabieży.
 A gdybyś, na jęki jéj, niski i wyrodny,
 Nieponiół głowy na tysiące grotów?
 Gdybyś najdroższych uczuć, najświętszych przedmiotów,
 Poświęcić jéj niebył gotów?
 Toś mieć : *Ojczyzny*, — niegodny!

« Siwy ojciec łamie ręce,
 » Matka targa pierś w żalobie,
 » Dziecię dłonie niemowlęce
 » Wyciąga ku tobie!

» I droga, jak miłość cześci,
 » Jak swoboda, jak kraj droga,
 » Luba twoja, w łzach, w boleści,
 » Klnie rozstanie, bluźni Boga! »

Lecz powinność cię woła! precz żalu niewieści!
 Mąż, syn ojczystéj ziemi! wiesz gdzie miejsce twoje!
 Starą ojców pochwyć zbroję,
 I leć niewstrzymany płaczem,
 Tam legniesz za kraj chlubnie, ciosami przeszyty,
 Lub wrócisz laurem okryty,
 — Lub będziesz wielkim : *Tulaczem!*

ZAMKNIĘCIE.

Szczęśliwi, w dniach owych blasku,
Coście żyjąc duszą czynną
Legli za ziemię rodzinną,
Przykryci garstką rodzinnego piasku!

A my, do téj blasku chwili,
Dni tułactwaśmy dożyli!
Przyjdąz równe, lub podobne,
Górnym owym chwilom — chwile?

Przeszłość, jak zachodu fale,
Odpłynęła w pełnej chwale;
A my — tułacze! jak brzozy żalobne,
We mgle nocy, w tęsknocie, jak głazy nagrobne,
Dogasamy na mogile!...

PRZYPISY.

(1) Wiersz do *Mickiewicza Adama*, — bawiącego w Rzymie, podczas wojny narodowej 1830 — 1831 r. pisany, wywołał, podobnie jak *Zamościanka* i *Tulacz*, oburzenie tych, dla których, jak się Gosłowski wyraża: «korzystną zawsze będzie » metodą, dla zakrycia własnej nicości i zimności, oburzać się przeciwko ludziom, » którzy w jakikolwiek sposób dobru powszechnemu zasługując się, po nad sferę » mierności i obojętności wlecieli.» Oto jest z téj, długo potępianej poezji ułamek :

« Wieszczu czynny! coś umiał ognistemi słowy
 » Do serc braci twoich strzelać;
 » Coś umiał: *własne ognie w bratnie piersi przelać!*
 » Wieszczu! świat twojej myśli, jak lysk piorunowy,
 » Zajaśniał ci przed oczyma!
 » Czemuż na nim ciebie niema?...
 » Miałżebyś życia jego jeden niepodzielać?...
 » Zmartwychwstań!!! W jego powiciu
 » Tyś mu nucił, jak dziecięciu.
 » Spiewaj dziś jego młodości życiu!
 » Utul go w twojem objęciu!
 » Dowiedz i pieśnią i czynem,
 » Żeś téj wielkiej ziemi synem!
 » Niechaj cię wróg jój pozna i w pieśni i w cięciu!
 » Po rodzinnych bagnach Litwy
 » Krew się teje, — i Litwiny,
 » Na morderczych polach bitwy,
 » Dowodzą że są jój syny!...

 » Zbudzony téj wieści echem,
 » Spiesz — dalekie rzucić Rzymy!
 » Spiesz — bo jeśli zwyciężymy,
 » Wstyd będzie bez zasługi polskim tehnąć oddechem!!! »

(2) Wiersz, pod tytułem: *Majdanek*, należy do przygodnych poezyj Maurycego Gosłowskiego, w rodzaju podobnych poezji powstańczych z 1830 — 1831 r., przez Rajnolda Suchodolskiego, Andrzeja Słowaczyńskiego, Konstantego Gaszyńskiego, Franciszka Kowalskiego, Seweryna Goszczyńskiego, Juliusza Słowackiego, Wincen-tego Pola, i t. d. składanych, a do którego, w przypisie, sam poeta, takie pozostawił wspomnienie: «Majdanek, wioska pod Zamościem. 31 Sierpnia, 1831 r., Polacy, » w 78 koni znieśli w niéj, w troje większy oddział piechoty moskiewskiej, uszyko- » wanéj między chatami, rowami, płotami, zaroślami, i t. d. Była to wycieczka » nadzwyczajnie zuchwała, przez komendanta wyprawy majora Bulewskiego Domi- » nika, bez rachunku nakazana, a wykonana przez kapitana podonczas Wereszczyń- » skiego Aleksandra, dowódcy dywizyonu Ułanów Podolskich. »



Com

Ota naszej
ze obywatel
podziela z
cichy, kto
mżanym,
już maty
tyranów.

Od

w twierd
a rozjaśn
i przysat

W

Generale!

Com czuł, com myślał, słysząc o zbliżającej się wyrozumnej godzinie dla naszej Ojczyzny, osmielałem się poświęcić Ci Generale! w tej pewności że obywatelskie serce Twoje, jak i nasze wszystkie, ugnieciono boleścią, podzieta z nami kładzie uścisk, i w sobie samem znajdzie źródło pomocy, której nam potrzeba! i której od Ciebie tylko oczekuje garstka męczonych, co przynoszą zagrzebanie się pod gruzami tej, niestety! tak już martej Ojczyzny, Lanością tylko, nad hańbiące łaski naszych tyranów.

Od Ciebie, Generale! zależy podniesienie upadającego ducha w twierdzy. Preknij jedno słowo: „Zginieśmy z orężem w ręku!” a rozjaśni się nasze twarze i serca. Powtórzamy za sobą: „Zginieśmy! i przysatose, okiem pogardy, pewno na groby nasze spocierai niebędzie.

Wstaje z wysokim szacunkiem obywatelskim,
Generata podwładny,

Maurycy Gostawski



„DOM KSIĄŻKI”

Przedsiębiorstwo Państwowe

P O Z N A Ń

**ANTYKWARIAT
KSIĘGARNIA**

Pz. Nr

1143

100 -

376123

POWODY WYDAWNICTWA.

Żyją w pamięci potomności polskiej wielkie imiona jej przodków : Lechów, Piastów, Jagiellonów, Batorych, Sobieskich, obok imion równie im wielkich : Sieciechów, Zawiszów, Ostrogskich, Zamojskich, Tarnowskich, Żółkiewskich, Chodkiewiczów, Czarnieckich, Pułaskich, Kościuszków, Poniatowskich, Dąbrowskich ; i obok imion z pola skromniejszego, lecz równie wielkich : Długoszków, Bielskich, Kromerów, Koperników, Kochanowskich, Rejów, Górnickich, Konarskich, Kollątajów, Czackich, Staszyców, Niemcewiczów, Brodzińskich, Słowackich, Mickiewiczów, Tańskich ; i obok imion z pola skromniejszego jeszcze, a także wielkich : Smuglewiczów, Stachowiczów, Norblinów, Głowackich, Szopenów. Ale gdyby potomność polska zadała sobie pytanie : Co wie o tych wielkich żywotach swoich przodków ? tedyby podobno odpowiedzieć musiała, że wie bardzo mało, albo wcale nic.

A jednakże od gruntownej znajomości żywota przeszłości, zawisł żywot przyszłości, ogniwem z nią żywota terażniejszości związany.

Przeszłość, terażniejszość i przyszłość, to trójca nierozdzielna i jedna nieśmiertelnego życia ludzkości, — trzy żywoty, a jedno życie.

Ztąd, im gruntowniejszą jest znajomość przeszłości w terażniejszości, tém pewniejszą jest przyszłość.

Przejdęci mocą tej prawdy, przedsięwierzemy pracę niniejszą.

Poznać przeszłość gruntownie, czyli oddać co, komu, i jak w niej się należy, — oto jest zadanie przedsięwzięcia naszego.

W tym celu, zawezwawszy znakomitych, a znających dobrze przeszłość polską, pisarzy, i znalazłszy w nich gotowość do podjęcia i wykonania tej pracy, rozpoczynamy wydawnictwo **ŻYWOTÓW NARODOWYCH**.

Zamykamy się w okresie ostatnich lat stu, bo ten okres zdawał się nam szczególnie obciążającym dzisiaj wymagającym.

Ogrom przedsięwzięcia niezraża nas, bo jesteśmy pewni, że obok nas są tysiące zarówno z nami ważność i potrzebę jego czujący, — i że przeto, na ziemi polskiej, nieznajdzie się nikt z mogących, a wiele ten może kto chce, któryby nam odmówił swojej pomocy i poparcia.

WARUNKI NABYCIA.

Całe dzieło, obejmie około 50 arkuszy druku w wielkiej 8°, i w ciągu 1859 roku, ukończonem zostanie.

Prenumerata na dzieło to z rycinami, starannie i ozdobnie wydane, wynosi złotych polskich 66 groszy 20, czyli rubli srebr. 10, czyli franków 40.

Można także nabywać **ŻYWOTY NARODOWE** pojedynczo, licząc za każdy arkusz druku *frank jeden*; ryciny do Żywota należące, oraz okładka dodane będą *gratis*.

Każdy z Żywotów ma paginację oddzielną, nabywający więc to dzieło, będą mogli przy oprawie go, ułożyć **Żywoty**, stosownie do upodobania, według porządku abecedowego albo chronologicznego.

